

niepozorny
wtedy
byłem

5

powrót do
elementa-
rza

6

cud
w łysych

8-9

po prostu
„myszka”

12

podajmy im
rękę

14

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

17

(93)

KONTAKTY
25 VII 1982
Cena 12 zł

wstążki

Noc się niby przez gwiazdy
odmienia
I przez ludzkie spojrzenia

Ale nie ma nowego w nowości
zmiany w odmianie.

„Pamiętaj
Jeśli płacze ktoś prawdziwie...”

I gdyby szukać obrazu dla nas —
— widzę kobietę z młodym ciałem
ale suchymi piersiami.

„Pamiętaj
Jeśli płacze ktoś prawdziwie
to nawet w deszczu tży zobaczysz...”

Ona jedzie sama
Na pustym wozie.
I nie ciągną go konie
ani niekonie.
Wianek ma na głowie.
Przez biodra gołe
szmatka na niej wisi.
Jedzie wiezioną zjawą wozu
oprzężonego w duchy końskie.

„Pamiętaj
Jeśli płacze ktoś prawdziwie
to nawet w deszczu tży zobaczysz
A gdy zrodzony był szczęśliwie...”

A noc się niby przez gwiazdy
prześwieca
w oczy patrzące dzisiaj teraz.

A wóz — to tylko już dudnienie
ta z wozu — to był krzak
co tonął pośród wydm.
Ktoś wołał — Jak zielono!
I ogień krzesał z mokrych skał.

I stawał wzór
skłamany jak wschód słońca.
Za ciemną chmurą był
i we mnie drżał.

„Pamiętaj
Jeśli płacze ktoś prawdziwie
to nawet w deszczu tży zobaczysz
A gdy zrodzony był szczęśliwie”
to ziemi swojej nie utraci...”

Na zachód czoło nie chce iść
Bo tam o Wiśle mówią Wolga.

Więc skąd ten post i susza
i ten kraj — spieczony język.

A niebo wciąż w bukietach gwiazd.

STR. 1

HENRYK GAŁA

22 LIPCA



JEDNA MAMY
OTCZYŻNĘ

POLSKIE

WDRAŻANIE
REFORMY

Fot. GABOR LÖRINCZY

SPOJRZENIE NA MANIFEST

W następnym numerze: Powstanie Warszawskie w oczach „Radka” — dowódcy oddziału specjalnego Szarych Szeregów ♦ Rok 1905 na Ziemi Łomżyńskiej ♦ Betonowe szczęście mieszkańców Grajewa ♦ Szczuczynski rekonesans w cyklu „Od sołtysa do ministra” ♦ Rozważania o schyłku wieku XX ♦ Kto lansuje zespół „Perfect”? ♦ Dalszy ciąg praw i obyczajów naszych pradziadków ♦ Bawialnia, czyli żarty o urzędnikach ♦ Nowa wojna Pawła i Gawła.

PROGRAM OBCHODÓW Święta Odrodzenia Polski, działalność OKON-ów na terenie województwa, sytuacja w administracji po przeglądzie kadr — były głównymi problemami kolejnego posiedzenia Wojewódzkiej Komisji Współdziałania PZPR, ZSL i SD w Łomży. Ponadto Komisja zatwierdziła plan pracy na drugie półrocze, ustaliła, iż nie odbędzie się dożynki wojewódzkie oraz wysłuchała informacji i sekretarza KW PZPR, Włodzimierza Michaluka, o przebiegu wizyty łomżyńskiej delegacji partyjnej w Ludowej Republice Bulgarii.

EGZEKUTYWA KW PZPR zapoznana się z propozycją składu dwudziestoczworoosobowej Rady Programowej naszego tygodnika — będzie ona przedstawiona do akceptacji na Plenum KW. Głównym punktem obrad była dyskusja nad treścią referatu przygotowanego na najbliższe Plenum, poświęcone „Działaniu partii na rzecz rozwiązywania problemów społecznych i gospodarczych w województwie”. Jego termin ustalono na 29 lipca br. Egzekutywa zaakceptowała też, podpisane przez partyjną delegację województwa łomżyńskiego, porozumienie o współpracy z zaprzyjaźnionym okręgiem Vidin w Ludowej Republice Bulgarii.

OBRAĐOWAŁO PLENUM Wojewódzkiej Komisji Rewizyjnej Stronnictwa Demokratycznego w Łomży. Uczestnicy posiedzenia przyjęli plan pracy na drugie półrocze br., nakreślili zadania dla Miejskich Komisji Rewizyjnych, omówili materiały z plenarnego posiedzenia Centralnej Komisji Rewizyjnej SD oraz ze wspólnego posiedzenia Prezydów centralnych instancji rewizyjnych PZPR, ZSL i SD.

WSPÓLNE SPOTKANIE kierownictwa organizacji młodzieżowych — ZSMP, ZMW i ZHP — zapowiada szeroką pomoc młodzieży w nadchodzących zniwach. Członkowie ZSMP wezmą udział bezpośrednio przy zbiorze zbóż, zwłaszcza w gospodarstwach ludzi starszych, samotnych, inwalidów, weteranów i rodziców żołnierzy. Planują też uruchomienie przewoźnych punktów zaopatrzenia rolników w napoje chłodzące oraz zorganizowanie opieki nad dziećmi w formie sezonowych dziecińców i „zielonych świetlic”. Z inicjatywy zarządów gminnych ZSMP powstają już zespoły zajmujące się organizacją i koordynacją akcji żniwnej. W ich skład wchodzi przedstawiciele ZSMP, ZHP, SKR, POM, OSP i służb rolnych. „ZMW chce być bankiem informacji o zapotrzebowaniu na siłę roboczą — powiedział wiceprzewodniczący ZW ZMW, Jerzy Dołęgowski. — Sami natomiast pracować będziemy na polach własnych i najbliższych rodzin”. Nie zabraknie przy pracy żniwnej harcerzy: jednym z podstawowych zadań zastępów nieobozowej Akcji Letniej ZHP jest właśnie pomoc żniwna, do której włącza się również m.in. uczestnicy obozów sportowo-obronnych w Czerwonym Borze oraz stałych stanic harcerskich.

MINISTER PRACY, Plac i Spraw Socjalnych, prof. dr hab. Antoni Rajkiewicz, wizytował ostatnio wydział zatrudnienia i spraw socjalnych UM i UW w Łomży. Celem wizyty było rozpoznanie lokalnych problemów zatrudnieniowych, wynikających z obowiązku pracy oraz technicznego i organizacyjnego przygotowania się tych wydziałów do zatrudnienia tegorocznych absolwentów szkół ponadpodstawowych. Odbłyły się również dwa spotkania konsultacyjne: z zakładową komisją socjalną LZPB „Narew” i gronem aktywno społeczno-gospodarczego województwa. Mówiono na nich o planowanej reformie plac, problemach, jakie mogą wyłonić się po jej wdrożeniu, potrzebie wzmocnienia motywacyjnego charakteru plac, przy jednoczesnej ochronie rodzin o niskich dochodach, szczególnie wielodzietnych. Warto podkreślić, iż wizyta ministra nie była zapowiedzią.

KOPIA SŁYNNEGO OBRAZU Matki Boskiej Częstochowskiej zawitała w swej wędrówce po kraju do Łomży i Zambrowa. W maryjnych uroczystościach licznie uczestniczyli wierni z całej diecezji.

HANDLOWE PROGNOZY. Mniej

niż dotychczas będzie tłuszczyń roślinnych (szczególnie margaryny) oraz płatków, kasz, ryb świeżych i konserwowych, czekolad twardych, musztardy i majonezu. Nadal będzie brakować galaretek, budyniu, kisielu, marmolady, cytryn, pomarańczy i przypraw korzennych. Do stawy większości artykułów spożywczych utrzymują się na dotychczasowym poziomie; przewiduje się wzrost popytu m.in. na kawę i alkohol. Pojawi się natomiast więcej koncentratów, ryb mrożonych i wędzonych, herbaty oraz importowanych pomidorów, winogron, brzoskwiń i papryki. Jest nadzieja na dalsze obniżenie cen mrożonek.

FAN CLUB zespołu „Perfect” powstał w Łomży! „Jeżeli lubicie »Perfect«, chciecie posłuchać jego starych i nowych nagrań, jeżeli pragniecie, żeby zajmował czołowe miejsce na liście przebojów zapiszcie się do nas” — reklamują organizatorzy. Klub działa pod patronatem MDK — Dom Środowisk Twórczych w Łomży (ul. Wojska Polskiego 1).

BIURO WYSTAW ARTYSTYCZNYCH prezentuje wystawę „Warszawska grafika barwna”, będącą przeglądem dorobku stołecznych artystów z przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

GOŚCIE W ŁOMŻY: gen. dyw. Włodzimierz Oliwa, inspektor Sił Zbrojnych, który spotkał się z Wojewódzkim Komitetem Obrony Kraju i aktywno młodzieżowym.

Redagowanie „Zdarzeń”
— WŁADYSŁAW TOCKI

personalia

Ze stanowiska pełnomocnika Komitetu Obrony Kraju w Łomżyńskim odwołany został płk mgr Lucjan Zapala. Nowym pełnomocnikiem został płk Kazimierz Jaroń.

W skład Rady Społeczno-Gospodarczej przy Sejmie PRL powołany został rolnik, Władysław Puławski, ze wsi Nur.

wieści gminne

PERLEJEWO. Pomyślnie zdaje egzamin kombajn do zbioru porzeczek, skonstruowany przez rolnika ze wsi Koski, Józefa Koska. Podobna maszyna produkowana seryjnie kosztuje 4,5 miliona złotych; Józef Kosek zrealizował swój pomysł za niespełna 300 tysięcy złotych.

Zakłady mięsne wyznaczają konkretne terminy dostaw żywcza przez rolników. Niedotrzymanie ich oznacza stratę dostawcy po 12 złotych na kilogramie. Przez dwa dni 8 sztuk trzody odchudzało się na wodzie i mieszało w geosowskim magazynie. Z czyjej kieszeni będą pochodziły pieniądze na pokrycie tych strat?

TRZCIANNE. Co kilka miesięcy odbywa problem rejonizacji mieszkańców, którzy na badania specjalistyczne zmuszeni są jeździć do ZOZ-u w Grajewie (ok. 40 kilometrów). Do Moniek mieliby znacznie bliżej (11 kilometrów), ale leżą one w innym województwie. Oczekujemy na sensowne rozwiązanie; biurokracja musi się wreszcie ugiąć przed rozsądkiem i dobrem społecznym.

Sprzeciw okolicznych mieszkańców budzi lokalizacja zbiornicy padłych zwierząt w Nowej Wsi. Właściciel zbiornicy, który padliną za-

mierza karmić zwierzęta futerkowe, mieszka w... innej miejscowości.

Trwa zbiórka pieniędzy na budowę szkoły w Laskowcu. Do funduszu gminnego rolnicy dokładają po tysiąc złotych od każdego hektara posiadanej ziemi.

Jeden z rolników otrzymał przydział na snopowiązałkę za sprzedany żywiec. Nie może jej jednak odebrać, ponieważ nikt w województwie nie wie, czy ma za nią zapłacić starą, czy nową cenę. Zniwa tuż, tuż — maszyna beczynnie stać nie może. Liczymy na szybką interwencję i rozwiązanie problemu przez UW w Łomży.

GONIAĐZ. W tym mieście — położonym nad jedną z najczystszych w Europie rzek — w upalne dni wysychają studnie. Budowa miejskiego wodociągu rozpocznie się prawdopodobnie w październiku.

Trwa goniądzki boom budowlany; rozbudowuje się zwłaszcza dzielnica nazywana przez miejscowych „Dolarowem”.

Rolnicy sprzedający zboże i ziemniaki przybywają z wielkich miast wpisywani są na tzw. czarne listy; odczytuje się im je, gdy zgłaszają się po przydział środków do produkcji rolnej.

Część wychowanków miejscowego zakładu wychowawczego, zwolnionych na wakacje do domu, wróciła po kilku dniach do Goniądza. Dla nich jedyny dom jest właśnie tutaj.

Gmina wpisuje się jako kolejny chętny na dostawę wędlin z Zakładów Mięsnych w Elku. Kielbaśy dostarczane z prywatnej masarni w Grajewie nie wytrzymują konkurencji.

Z dwudziestu dwóch wsi w gminie — trzynaście przeznaczyło swój Fundusz Rozwoju Rolnictwa na budowę i remonty dróg. Rolnicy Kramkówek Małej przekazali na ten cel również nagrodę, którą otrzymali w konkursie za estetyczny wygląd wsi.

SKR otrzymał przydział piętnastu snopowiązałek z jesiennym terminem odbioru.

ZAWADY. Rolnicy wnioskuje, by zwolnić z pracy miejscowych urzędników, którzy posiadają własne gospodarstwa rolne, gdyż wykorzystują oni stanowiska do załatwiania sobie środków do produkcji rolnej.

Po macoszemu traktuje GS w Rutkach filię w Zawadach. Kufel piwa w miejscowym barze wycenił na czterdzieści pięć złotych, ale materiały budowlane (np. cement), zamiast trafiać do Zawad, jadą pod Warszawę.

Budowlanych z grajewskiej spółdzielni nie można zachęcić do pracy przy budowie biurowca w Zawadach nawet obiadem. Na prywatnych budowlach nie tylko się zje, ale i wypije.

Waży się sprawa przyjęcia szkoły w Targoniach Witach do planu inwestycyjnego województwa. Ściany szkoły, budowanej dotychczas w czynnie społecznym, sięgają pierwszego piętra. Szkoda byłoby zmarnować tak duży społeczny wysiłek mieszkańców.

KOBYLIN BORZYM. Gospodarze narzekają na brak w miejscowych sklepach bagnetów do kosiarzek i kos, natomiast gospodynie — na brak proszku do pieczenia.

Około 90 proc. plantacji ziemniaka atakuje stonka. Niezbędne są środki owadobójcze, ale walkę ze szkodnikiem utrudnia fakt, iż zabiegów nie wykonuje się jednocześnie.

Rolnicy, którzy poszli za radą lokalnego dziennika i plantację kukurydzy spryskali środkiem o na-

CIĄG DALSZY NA STR. 15

myśl z atestem

„Polskie paradoksy? Za wiele zaszczytu: po prostu nonsensy i ciemnota”.

KAROL IRZYKOWSKI

zdanie tygodnia

„Lepsze jest wrogiem dobrego”.

WALDEMAR ŚWIRGON

przewodniczący Zarządu Krajowego ZMW

wypisy z historii

20 VII 1591 r. król Zygmunt III zatwierdził statut cechu kupieckiego, uchwalony przez mieszczan i kupców łomżyńskich.

21 VII 1863 r. Kozacy we wsi Wygoda wymordowali 50 uczniów gimnazjum łomżyńskiego.

22 VII 1943 r. w lesie koło wsi Ślawie, gestapowcy i żandarmi stacjonujący w Łomży rozstrzelali około 300 Polaków i Żydów przywiezionych z łomżyńskiego więzienia.

22 VII 1944 r. w Chełmie Lubelskim władza ludowa na wyzwolonych ziemiach polskich ogłosiła pierwszy dokument polityczno-prawny, określający zasady nowego ustroju społeczno-politycznego Polski — Manifest PKWN.

22 VII 1952 r. Sejm Ustawodawczy uchwalił Konstytucję Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

21 VII 1953 r. w Wysokiem Mazowieckiem oddano do użytku nowoczesny szpital.

21 VII 1954 r. w Zakładach Przemysłu Bawełnianego w Zambrowie uruchomiono przedsiębiorstwo, stanowiące największą inwestycję planu 6-letniego w województwie. Oddanie do użytku całego kombinatu nastąpiło 20 lipca 1955 r.

17 VII 1956 r. obradował w Białymstoku III Wojewódzki Zjazd Niewidomych (na Białostockie ziemie mieszkało 700 niewidomych, z których 14 proc. pracowało w spółdzielniach inwalidzkich). Mówiono na nim o konieczności kształcenia niewidomych (tylko 4 proc. posługiwało się pismem Braille’a).

20 VII 1969 r. przekazano do eksploatacji system nawadniający zmeliorowane tereny w rejonie Wizny. Łączny koszt budowy wyniósł 35 milionów złotych.

20 VII 1971 r. w Białymstoku uruchomiono nowe Białostockie Zakłady Graficzne. Wybudowane kosztem około 10 milionów złotych. W tym dniu wydrukowały one nadzwyczajną wydawnictwa „Ziemi Białostockiej” w dużym formacie.

pytania drażliwe do dyrektora Wydziału Handlu i Usług UW

— W innych województwach papierosy „Carmen” i „Zefiry” są w wolnej sprzedaży, zgodnie zresztą z zarządzeniem ministra Handlu Wewnętrznego i Usług. U nas natomiast „Zefiry” są nadal na kartki.

ZYGMUNT MAZIŃSKI: — Zarządzenie powiada, że te gatunki papierosów mogą, ale nie muszą być wyjęte spod reglamentacji. Ponieważ mieliśmy duży zapas „Carmenów”, „AB” i „Piastów”, zdecydowaliśmy się wprowadzić je do wolnej sprzedaży. „Zefirów” mamy za mało.

— Byłyby najwyżej szybciej wykupywane. Tymczasem wazze zarządzenie powoduje podenerwowanie klientów, nieporozumienia ze sprzedawcami, interwencje...

Z.M.: Naszą decyzję konsultowaliśmy z dyrektorem Borsem z MHWiU.

— Więc umyamy ręce od papierosów. A co z proszkiem do prania? Osoby samotne czekają po 2-3 miesiące, żeby zbierać kuponików na jedno opakowanie. Kiedyś nawet w Łomży sprzedawano go na wagę.

Z.M.: — Aż do pierwszego wypadku, kiedy pogotowie zabralo ekspedientkę z krwotokiem. Wychowanie proszku jest szkoliwe dla zdrowia. Nie ma jednak tragedii, gdy ktoś posiada tylko kupon na 600 gramów, a sprzeda mu się 700. Można się dogadywać indywidualnie i dzielić w domu.





pamiętne ślubowanie

Wracamy do tych entuzjastycznych dni sprzed 30 lat, oddając symboliczny hołd ludziom, którzy budowali fundamenty naszego kraju w powojennej rzeczywistości. „Ślubujemy Tobie, Ojczyzno – przyrzekali na pierwszym w wyzwolonej Polsce Zlocie Młodych Przodowników-Budowniczych Polski Ludowej, odbywającym się 20–22 lipca 1952 roku – na chwałę okryte sztandary, na testament wielkich patriotów i rewolucjonistów: Tadeusza Kościuszki, Adama Mickiewicza, Ludwika Waryńskiego, Feliksa Dzierżyńskiego, Marcelego Nowotki, Karola Świerczewskiego, na krew ojców i braci naszych poległych w walce o wolność i socjalizm, na konstytucję Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, która spełnia marzenia minionych pokoleń. Ślubujemy Tobie, Ojczyzno, my – synowie i córki ludu pracującego, młodzi przodownicy pracy i nauki, młodzi robotnicy, chłopci i żołnierze, umacniać władzę robotników i chłopów, walczyć z ciemnotą, zacofaniem i przesądami, pomnażać bogactwa narodu pracą i nauką”.

To już historia, ale nie wszystko z tamtego zapалу i siły powinno zamknąć się w pamiątkowym albumie.

Repr. GABOR LORINCZY



W artykule Danuty Wroniszewskiej „Kontakty” nr 14/90) wicedyrektor Wydziału Handlu i Usług UW, Eugeniusz Kosicki, mówiąc na temat produkcji konserw mięsnych w Łomżyńskich Zakładach Spożywczych oświadcza m.in.: „Oni jednak odrzucają tę naszą ofertę, ponieważ takie konserwy są poza regulamentacją i musieliby się troszczyć o rynki zbytu. Swą niechęć wolą jednak tłumaczyć tym, że tego mięsa jest niewiele”. Powyższe stwierdzenia wprowadzają Czytelników w błąd, a o ich niesprawiedliwości świadczyć mogą choćby następujące fakty.

Już w lutym, posiadając zapas opakowań blaszanych, zwróciliśmy się z prośbą o przydział masy mięsnej na produkcję konserw do Wydziału Handlu, WSS, WZSR. Jedyne Wydział Handlu przydzielił nam około 3 ton mięsa miesięcznie (produkcja jednej zmiany w jednym zakładzie). Stawialiśmy problem rzeczywistego zapotrzebowania na konserwy (interweniowali u nas nawet indywidualnie rolnicy), lecz WSS i WZSR starali się za wszelką cenę utrzymać zatrudnienie i produkcję swoich masarni.

Wiadomo było już w lutym, że jakość wędlin produkowanych w naszych masarniach przedstawia się tak, jak opisano w „Kontaktach”. Problem ten był przez nas stawiany na Zespole Mięsnym, a dyrektorzy zakładów w Ostrołęce, Białymstoku i Elku oferowali pełne pokrycie potrzeb województwa łomżyńskiego.

Łomżyńskie Zakłady Spożywcze niejednokrotnie podkreślały, że mogą produkować każdą konserwę zgodnie z normą, a ich rodzaj jest zależny tylko od ilości, rodzaju i jakości otrzymanego surowca. Posiadamy nawet znak jakości na konserwy eksportowe. W poszukiwaniu pracy i zatrudnienia dla naszych pracowników już w lutym rozpoczęliśmy próby produkcji konserw z mięsa mniej wartościowego. Jednak pierw-

wyrok na kiełbasie

szą produkcję konserw wstrzymano z upoważnienia wojewody i zablokowano sprzedaż. Po licznych korespondencjach i zabiegach otrzymaliśmy zezwolenie na produkcję konserw z mięsa mniej wartościowego tylko w Łomży i pod warunkiem, że w zakładzie nie będzie w tym cza-

sie innego surowca. Dostawy mięsa mniej wartościowego są nieregularne, nie ma więc mowy o planowaniu produkcji i utrzymaniu jej ciągłości. Nie mogąc sobie pozwolić na tak „elastyczne” działanie, zmuszeni byliśmy zlikwidować rozbiór i przestawić częściowo produkcję.



Skomplikowało to dalej sprawę konserw z mięsa mniej wartościowego, ponieważ musielibyśmy otrzymywać je obecnie już rozetrane, a nie w całości.

Otrzymanie zgody na produkcję konserw również w Chojnach Starych lub przechowywanie mięsa mniej wartościowego w jednym magazynie w Łomży, a pełnowartościowego w drugim, praktycznie rozwiązałoby sprawę. Niestety, otrzymaliśmy już dwukrotnie negatywną odpowiedź. Około miesiąca temu wystąpiliśmy o zgodę na produkcję dwóch nowych konserw warzywno-mięsnych: pulpetów w sosie grzybowym oraz zrazów z kaszą gryczaną i grzybami. Badania dały pozytywne wyniki, lecz — z nieznanych nam względów — decyzji pozytywnej do dzisiaj nie otrzymaliśmy.

Pomimo tych problemów oraz prób dostarczenia nam do produkcji prawie padliny (której, oczywiście, nigdy nie przyjęliśmy i nie przyjmujemy), wyprodukowaliśmy w tym roku 13,6 ton konserw mięsnych z przeznaczeniem na rynek łomżyński i województw sąsiednich.

Prawdopodobnie od lutego (nie posiadamy dokładnego rozeznania, ponieważ nie jesteśmy proszeni na większość Zespołów Mięsnych) przydzielona na województwo masa mięsna nie była wykorzystana, lecz nie przyniesiono jej nam na produkcję konserw.

Nie przerabiamy obecnie mięsa mniej wartościowego, idzie ono do „Bacutilu”, ponieważ brakuje kilku odpowiednich decyzji i chęci. Łatwiej jest nas rozliczać niż rozwiązać problem podejmując samemu odrobinę ryzyka. My jesteśmy gotowi rozważyć każdą propozycję odbioru dobrego mięsa mniej wartościowego i na pewno będziemy za nie płacić więcej niż „Bacutil”.

Łomżyńskie Zakłady Spożywcze
Zarząd Spółdzielni
Fot. GABOR LORINCZY

sposób na reformę

W ramach dyskusji na temat reformy gospodarczej chciałbym — za pośrednictwem Redakcji — podać kilka praktycznych zasad, które już dzisiaj nie funkcjonują i, być może, niektóre instytucje i zakłady mogłyby je — ku swemu zadowoleniu — wprowadzić w życie, aby spokojnie wyjść na swoje.

Nie tak dawno w różnych publikacjach rozstrzymano przed nami radosną wizję rozwiązania tzw. kultury picia w kraju. Otóż przed przedstawianą bodaj podwyżką cen na alkohol miała być za to zniesiona marża na ten produkt w gastronomii. Zamiast pić w bramach czy „pod chmurką” — miał to być narów w knajpach rozlicznych kategorii za tę samą cenę, co w detalu, za to z kulturą i zakąską. Gastronomia, która od kilku lat była nieopłacalna (jak to się dzieje, że byli, są i chyba nadal będą agenci, żeby do tego interesu dopłacać, pozostanie tajemnicą tych uspołecznionych hobbystów i fiskusa), miało to zmusić do dbania o jedzenie, bo na wodce nikt miał forsę nie robić. No i co?

W zeszłym roku usiłowano odgórnie ograniczyć marżę gastronomii także na wszelkie alkohole. U nas wiadomym znakiem tego nieprzemyślanego kroku i zamachem na dochody restauracji było niepodawanie gościom ani wódki, ani piwa, dokąd sprawa się nie wyklaruje. Chodziło np. o cenę naszego łomżyńskiego „Fulla” w „Polonezie”, który (o czym ze zgrozą mówił sam personel) miał z — już stosowanej — ceny 90 zł spaść do 36 zł. Oczywiście, wygrał interes gastronomii, przynajmniej naszej, łomżyńskiej, i stanęło na 90.

Potem zaczęła wchodzić w życie reforma i restauracja, jedyna reprezentacyjna w mieście, mogła sobie ustalić cenę na zasadzie wytycznych „od — do”. W ten prosty sposób to samo — jak się naiwnym wydawało, już zbyt drogie — piwo „skoczyło” na 150 złotych. No bo co to jest dzisiaj te 60 złotych różnicy? Raptem pięć egzemplarzy, też podobno drogich, „Kontaktów”. A ile kosztuje to piwo w naszym browarze, który przecież też nie jest instytucją charytatywną? Gdy-

by tyle chcieli zarabiać kolporterzy, którzy też tylko sprzedają gotowy produkt, czyli „Kontakty”, musiałby one kosztować 50 złotych, co i tak stanowiłoby dopiero 1/3 wspomnianego „Fulla”.

Pewien warszawiak przybył w poważnej misji i mający wątpliwą przyjemność mieszkania w monopolistycznym hotelu „Polonez”, truł mi głowę przez trzy godziny zgola jałowymi rozważaniami. Dlaczego pokój w stołecznym i nie najgorszym przeciw „Metropolu” jest tańszy niż tu, mimo że na całym świecie stolicę bywają „najdroższymi” miastami? A najzabawniejszy argument miał taki, że jest to hotel „Gromady”, czyli — w założeniu — powstały dla obsługi turystycznej wsi, więc jako taki nie powinien być aż tak „ekskluzywnie” drogi. Kalkulował facet, czemu w tym samym stołecznym hotelu herbata (takie same torki!) kosztuje 17 złotych, a w Łomży 25?

Tłumaczyłem, że u nas są np. kłopoty z wodą pitną (no, pisały o tym nawet „Kontakty”), że mamy chyba wyżej kwalifikowany personel (bezczelny, odparował, że nasze panie wychodzą z zaplecza z częstotliwością miejskich autobusów), a w końcu użyłem argumentu nie do odparcia: „U nas, panie, jest pewna specyfika” (celowo niepomyślny fakt, że Klemens Krzyżogórski na łamach swych „Kontrastów” już przed laty zwałczal ową wymyślną i cholernie wygodną „specyfikę”, będącą w rzeczy samej swoistym panaceum na wszelkie nieudolności, niedbalstwo i niechęć do ruszania głową).

Wydaje się, że osiągnięcia cenowe hotelu „Polonez” godne są szerszego upowszechnienia — jeśli nie przez specjalną naradę czy symposium menadżerów w Balikach lub Koźle, to choćby przez ujawnienie zawiloci naliczania tak pożądanego (dla przedsiębiorstw) cen. Choć niechęć do ujawniania dobrych wyników finansowych i sposobów ich osiągania staje się, niestety, powszechna, co z punktu widzenia zdrowia naszej gospodarki jest rzeczą ze wszech miar społecznie szkodliwą.

Pewien znajomy, choć zirytowany, pokazywał mi fakturę firmy państwowej, pracującej w branży kultury i sztuki, a mianowicie Pracowni Sztuk Plastycznych, w której to fakturze cena wykonanej usługi jest znacznie wyższa niż oferta plastyka-wykonawcy. Rzecz

sama w sobie ma kilka ciekawych aspektów. Otóż przed reformą ta sama firma wyliczała skrupulatnie na fakturze, ile co kosztowało wg państwowego cennika i ile od tych sum rzeczona firma bierze sobie procentowego narzutu za pośrednictwo. Tak, właśnie, nie za pracę, bo pracę wykonuje konkretny i wskazany przez zleceniodawcę plastyk, a rola tejże zasłużonej firmy ogranicza się do zawarcia umowy, sprawdzenia projektu, a potem — gotowego „wyrobu”. Te dwie czynności robi komisja składająca się z takich samych profesjonalistów, jak sam wykonawca. Po co więc ten pośrednik? — zapyta ktoś nie-uświadomiony. Otóż po to, aby podtrzymać status plastyka, który jest nadal takim kontrahentem, jak np. rzemieślnik, więc można mu płacić nadal z limitowanych funduszy na prace zleczone, które od lat są zbyt małe. Dzięki pośrednictwu PSP — opłaca się to jako „usługi instytucji uspołecznionej” z paragrafu, za którym na ogół pieniędzy nie brak.

Tak więc, z pełną świadomością swej niezbędności w ramach reformy, PSP musi sobie pozarabiać i to lepiej niż na przysłowiowym zbożu. A skąd taki mus? Stąd, że przecież i tak wszystko zdrożało, a głównie wzrosły koszty osobowe pracowników zatrudnionych w tymże PSP. Jasne? Żeby zleceniodawcy nie drażnić wysokością narzutów, przeznaczonych na utrzymanie typowej „czapy administracyjnej”, też znaleziono wyjście. Po prostu na fakturze umieszcza się czynności wykonane przez plastyka od razu z doliczonym narzutem. Fakt, że dzięki temu pozycje państwowego cennika, na który firma powołuje się skrupulatnie, tak się mają do wykazanych na fakturze sum, jak przysłowiowa pięść do nosa, to już zupełnie drobiazg i czysta abstrakcja. Ktoś niezorientowany może sobie pomyśleć, ile to zarabiają ci plastycy (których interesów „broni” PSP); drobiazg, niech sobie myślą.

W ramach radosnej twórczości otwarto w różnych miastach ekspozytury PSP, które już wówczas nie zarabiał zleceniami na swe utrzymanie. Teraz zleczeń jest jeszcze mniej, a koszty ich utrzymania wzrosły. I nie jest to sprawa reorganizacji PSP, a zleceniodawców. Niech dają mniej zleceń, niech mają mniej np. wystaw, za to dużo droższych! Może i straci na tym społeczeństwo, ale firma — monopolista zyska. W końcu „ich ludzie” to kawałek społeczeństwa.

Znajomy mego znajomego, który akurat nie jest moim znajomym, od kilku lat nie tylko pracuje w klasowo nam obcej firmie — przedstawicielstwie francuskiego koncernu chemicznego — ale także wprowadził tam (ze skutkiem) kapitalistyczne zasady i stosunki międzyludzkie. Wierzyć się nie chce, że obracając milionami w walucie wymiennej, zatrudnia — cztery osoby, mimo że obejmuje zasięgiem całą Polskę, a centralę ma w Paryżu. Pani księgowa dochodzi raz na miesiąc, robi rozliczenie i płaci się jej ryczałtem „za usługę”, całą administrację prowadzi każda z trzech osób, gdy akurat ma wolną chwilę, z pisaniami na maszynie włącznie. Ta czwórka pracuje tak, że mają tzw. wyniki, bo gdyby ich nie miała, „centrala” zlikwidowałaby nieopłacalne przedstawicielstwo.

A u nas, jak się ostatnio publicznie skarżyli młodzieżowcy, nie można otworzyć spółdzielni pracy nakładczej, bo — wg przepisów — trzeba etatowo zatrudnić kilku niezbędnych pracowników, na co ich finansowo nie stać. „Obchodząc” owe mądre przepisy chcą uruchomić spółdzielnię przy... Uniwersytecie Robotniczym tj. w oparciu o istniejące tam etaty. Brzmi to co prawda głupio, ale na pewno jest posunięciem mądrzejszym niż opłacanie kosztem spółdzielców trzech dodatkowych ludzi.

Proszę o włączenie się poczytne pisma „Kontakty” w pożyteczną akcję, której cel sprecyzowałem na wstępie. Niech ogłosi błyskawiczny konkurs na rozwiązanie zagadki: przy jakiej firmie załatwiać sprawy plastyków, aby ominąć zbyt drogi PSP? Jako nagrodę proponuję „Fulla” w „Polonezie”, mając nadzieję, że po poznaniu jego kalkulacji — przeklniemy go z pełnym zrozumieniem zasad reformy gospodarczej, w pełni uwzględniając naszą specyfikę.

TADEUSZ ZNAJOMAK
Łomża

Od redakcji: uważamy, że już od teraz może Pan zacząć stawiać łomżyńskiego „Fulla” plastykom, którzy sami znają najlepsze recepty na unicestwienie Pracowni Sztuk Plastycznych, a wraz z nią — własnych utrapień. Oczywiście, nie w „Polonezie”, bowiem — w myśl zasady: „Tak krawiec kraj...” — taniiej wyjdzie spożyć tego trunku w domu, po uprzednim nabyciu go w placówce handlowej WSS „Społem”.



Jak sobie myślę, że gdybym dziś zabrał się do takiej roboty, na pewno nie by nie wyszło. Stałabym przed górą pytań, o jej celowość i, nie mniejszą do sforsowania, górą trudności obiektywnych. Czy znalazłbym tylu zapaleńców, którzy nie czekaliby, jak teraz, by robota sama weszła im w ręce. Nie warto chyba mówić o tym o głodzie...

Władysław Winko przerywa dopiero co rozpoczętą kwestię, by przyjąć czwartego już dziś interesanta. Jako weteran ruchu robotniczego, stary pepeesowski działacz, może potwierdzić lub zaprzeczyć, że — na przykład — pan Maria Zemler, primo voto Pajko, de domo Mazurek (której ojciec był jedynym fryzjerem w Łomży, co robił peruki), była do zjednoczenia PPR i PPS aktywną działaczką partyjną lub młodzieżową. Takie stwierdzenie potrzebne jest do przyznania dodatku rentowego.

— Panie Winko, pamięta mnie pan? Przecież musi mnie pan pamiętać! Zaraz poczęstuję pana do brym papieroskiem.

Paczka klubowych wędruje na stół.

— Nie, dziękuję. Ja wolę, tak po robotarsku, sporta.

Pamięć z trudnością przywołuje młode naówczas twarze, za to ze świeżością szczegółu wyłuskuje zdarzenia, dla których jednoznacznym kontekstem były: równość, demokracja, sprawiedliwość.

— Myśmy tym pojęciom, świadomie czy nie, nadawali praktyczny sens.

Słowem „komuna” dopiero po wielu, wielu latach nazwie Władysław Winko życie w zakładach ceramiki budowlanej, uruchomionych w pierwszych powojennych miesiącach. „Zakłady” — tak ambitnie mianowano po prostu cegielnię, kaflarnię, dachówkarnię... Pierwsze miejsca pracy dla nielicznych, po wojennych przejściach, Łomżan.

— Kiedy 16 stycznia 1945 r. przeniosły się władze z Zambrowa do Łomży, niejako z marszu przystąpiły do organizacji życia w mieście. Mieliśmy z PKWN-u nie tylko pełnomocnictwa polityczne, ale także i do organizowania zakładów. Utrzymać przynajmniej to, co zostało z wojennego kataklizmu — takie było wówczas polecenie. Musieliśmy wejść do zakładów szybko. Bo czego nie rozkradli Niemcy i nie zniszczyli, trwające od września do stycznia, walki frontowe, stało się łatwym do zdobycia kąskiem dla mieszkańców miasta. Z zakładów zniknęły deski. Trudno się ludziom dziwić, przecież nie mieli czym w kuchni palić. Położyłem na to rękę. Pracowałem przed wojną w kaflarni, a także mój ojciec i mój dziadek.

W Łomży przed wojną nie było wielkiego przemysłu. Drobne zakłady przetwórcze i fabryka ceramiki czerwonej „Strop”, której właścicielem była spółka Brzeziński-Bengelsdorf. Starą cegielnię kupił Żyd od Żołędzia za paczkę zapalek. Taką wartość miały po trzech miesiącach pieniądze w latach wielkiego kryzysu. Była jeszcze waciarnia i fabryka Orłowskiego, produkująca maszyny polnicze i to prawie wszystkie miejsca pracy.

U Orłowskiego też powstał komitet robotniczy, ale na takich fachowców było w kraju wielkie zapotrzebowanie. Wyjeżdżali więc tam, gdzie mieli zapewniony byt. Najwięcej w Krakowie. Ludzie, którzy po ewakuacji wracali ze Śniadowa, Zambrowa, spod Białegostoku, od razu zgłaszali się do pracy; wszyscy, co tu przed wojną pracowali. Nie stawili się tylko ci, którym wiek już siły i zdrowie zabrał. Powołaliśmy robotniczy komitet organizacyjny: Czesław Bruliński, Jan Jarmolowicz, Aleksander Chojnowski, Piotr Pałuszko, Julian Szymborski, Czesława Nowacka, Jadwiga Kulaszewska. Chyba wszyscy byli członkami Polskiej Partii Socjalistycznej. Ja zostałem jego przewodniczącym.

Możliwość otrzymania stałej pracy przez niektórych robotników, mających jeszcze świeżo w pamięci groźne zarobki „na bezrobociu”, bo tak nazywano dorywcze zajęcia przy sprzątaniu ulic, dopingowała do szybkiego zgłaszania się. Kto pierwszy, ten lepszy! Z każdym dniem do zakładów przychodziło coraz więcej. W pewnym momencie spostrzegłem, że jest ich już za dużo; że nie będę mógł zagwarantować nawet minimum środków na utrzymanie. Ale jak odmówić prośbie:

„Ja tu też byłem, tutaj mój warsztat pracy.” Nie przyjął znakomitego fachowca? Ja, na przykład, żeby zostać dobrym kaflarzem terminowałem trzy lata. Przyszli nawet z ofertą dwaj szewcy: Dominik Rakowski i Aleksander Rutkowski, żeby razem, do wspólnoty, że będą robotnikom buty naprawiać. Wziąłem i ich, ponieważ nierzadko bywało tak, szczególnie w zimowych miesiącach, że ludzie nie przychodzili do roboty, bo im ostatnie buty z nóg spadły. Dołączył do nas jeszcze fryzjer, Czesław Kokoszko. Ustaliśmy stawkę za strzyżenie naszych robotników.

Uruchamiać zakłady, które produkują cegły, kafle, dachówkę... Czy można wpaść na bardziej absurdalny pomysł? Kto ze starszych mieszkańców pamięta Łomżę z miesięcy tuż po wojnie, to wie, że taki materiał budowlany leżał wprost na ulicy. Kto chciał, mógł go po prostu wziąć, ile było trzeba, a nie kupować w cegielni.

Myśmy myśleli już o jutrze, o budowaniu nowych domów. Zanim ruszyliśmy z produkcją, musieliśmy najpierw przygotować do niej zakłady. Bo nie było tak, że czekały na nas maszyny, a my przychodzimy i włączamy je naciśnięciem guziczka. Niemcy, którzy w czasie wojny produkowali również kafle, cegły, dachówkę, kiedy zbliżał się front — wszystkie maszyny zdemonstrowali, pochowali w skrzyniach i zabrali z sobą. Czego nie zdążyli wywieźć,

niepozorny wtedy byłem



porozbierali na części i rozrzuili po okolicznych polach. Ale ludzie mniej więcej wiedzieli, gdzie i co leży. Dawali nam znać. Więc każdego dnia szli robotnicy i znosili po kawałku urządzenia. Oczywiście, nie wszystko udało się odzyskać. Mieliśmy jednak „złotą rączkę”, ślusarza-mechanika, Jarmolowicza, który potrafił wszystko złożyć do kupy, a jak czegoś brakowało, to dorobił. I w ten sposób zgromadziliśmy cały komplet do robienia dachówek.

Nie szło nam wszystko tak gładko. W miejscu, gdzie znajdowały się pokłady gliny, stała drewniana stodoła. Postawił ją Nochim Brzeziński, który — oprócz cegielni — miał jeszcze młyn i majątek rolny. Zanim zaczął kopać glinę, żeby ziemia nie ugorowała, siał tam zboże. Myśmy tę stodołę rozebrali, bo z drewnem było wówczas krucho. Grube deski poszły na reperację dziur w podłogach. Podniósł się krzyk w całej Łomży: „Ludzie, patrzcie, co oni robią! Zamiast budować, rozbierają wszystko i sprzedają. Taka jest robotnicza władza!” Reakcja straszyla

nas różnymi sposobami. „Robotnicy, nie bierzcie zakładów, tu trzeba najpierw właściciela”. Ale nikt się jakoś nie przestraszył i nie rzucił pracy. Robotnicy pracowali wtedy bardzo ciężko. Żeby mieć surowiec do produkcji, a trzeba wiedzieć, że były to zimowe miesiące i ziemia zmarznięta do szpiku, potężnymi drewnianymi klinami wbijali się w głąb. Dwunasto-szesnastokilogramowymi młotami bębniłi cały dzień na sześć-siedem metrów, by dotrzeć do gliny.

Pewnego dnia ludzie dali nam znać, że Niemcy utopili w Narwi samochód. Co za gratka! Było to jeszcze wczesną wiosną, kiedy rzekę pokrywał lód. Wszyscy mężczyźni ruszyli do jego wyciągania. Przyciągnęliśmy jakieś liny, drągi, kołowroty; kuliśmy przerebłę w rzece. Kiedy nam nie szło i zobaczyłem, jak ludzie powoli zamieniają się w lodowe kukły, zacząłem wszystkich przekonywać, że szkoda zdrowia, pał diabli samochód. Ale nawet słyszeć nie chcieli, uparli się. Wreszcie go wyciągnęliśmy. I tak dorobiliśmy się własnego samochodu. Mieliśmy wcześniej konia i wóz; konia kupilem na targu w Łomży za pierwsze chyba, uzyskane ze sprzedanej produkcji, pieniądze, ale go nam ukradli. Tej nocy była silna zawierucha. Koń stał w specjalnym pomieszczeniu na terenie zakładu. O czwartej rano bębni do drzwi dozorca: „Panie kochany, konia nam zabrali!” Ruszyliśmy z milicją w pościg, ale ślady śnieg szybko zatarł. Dozorca, za to, że nie dopilnował, zaspał, trochę posiedział w areszcie. Ale przecież nie on ukradł.

Dla nich transport znaczył wiele. Może dlatego w krótkim czasie zdążyli uruchomić tor kolejki wąskotorowej, od zakładu do głównej stacji. Ułożyli własnoręcznie półtora kilometra szyn! I też praktycznie z ni-

się zorganizowały i pojechały furmanką na wieś. Poszły po chałupach, mówiły, skąd są i co produkują, że rolnikom to się wkrótce przyda, i zbierały całą furę kartofli. Przywoziły do zakładu i rozdzielały sprawiedliwie między wszystkich. Starczyło tego na tydzień. Nie wiedziałem o akcji, bobym nie pozwolił. Przecież w Konarzycach, Boguszycach — tam właśnie Nowacka z kobietami pojechała — gospodarstwa chłopskie były zrujnowane, na przednówku.

Pracowaliśmy od siódmej do trzeciej. W południe była godzinna przerwa obiadowa. Mieliśmy kucharkę, która nam gotowała. Nie, nie zmyślnego: zupa i chleb. Dobra była, na tłustych kościach. Robotnicy przynosili z sobą łyżki i miski. Dożywialiśmy też ósemkę dzieciaków, którym matka zmarła, a ojciec pracował u nas. Myśleliśmy, by przy zakładzie zorganizować hodowlę, ale to akurat nam się nie udało. Dostawaliśmy odzież z UNRRA (Organizacja Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy). Czasem stare, czasami dobre i ładne rzeczy.

Produkcja ruszyła. Zrobiliśmy trochę kafli, dachówki, ale nie było komu sprzedać. Upchnęliśmy trochę kafli w PSS; byłem tam przewodniczącym rady nadzorczej. Kupili niedawno biurowiec — stare, wypalone mury. Sąd powiatowy był też bez dachu nad głową, to wzięli trochę dachówek. Jak przyszło do pierwszej wypłaty, na każdego wypadło po 50 złotych. Daliśmy zaliczkowo, za trzy miesiące. Powoli zaczęli przyjeżdżać do nas chłopcy po kafle. Znow utknęliśmy z produkcją w martwym punkcie. Żeby zrobić kafle z polewą, potrzebna była cyna i ołów, a ten surowiec siedł na cele wojenne. Znałem inżyniera w Białymstoku, który miał laborato-

czego. Kawalki szyn znow trzeba było zbierać na polach. Brakowało podkładów, bo ludzie pobrali do palenia. Ale powoli znosiliśmy wszystko. A przecież ekipy, które wychodziły na poszukiwania, łatwo mogły wrócić z niczym, powiedzieć, że niczego nie znalazły... Zgromadziliśmy szyny, podkłady, to znow nie było gwoździ. Braliśmy wtedy gruby drut, cieliśmy na kawalki i mieliśmy gwoździe.

Ludzie cenili sobie pracę w zakładzie. Zapaleni, tacy oddani, pełni wiary, że jutro może być lepiej. Pracowali, nie oglądając się na to, czy ktoś im zapłaci. A przecież widzieli, że ci, którzy wzięli się za handelek, szaberek, żyli sobie bez kłopotu.

Chociaż kierowałem zakładem, a równocześnie byłem też sekretarzem Komitetu Powiatowego Polskiej Partii Socjalistycznej, znikąd nie utrzymywałem ani grosza. Z czego utrzymywać nasze rodziny? Kiedy zaczął nam głód doskwierać, to kobiety — a pracowały ich w zakładzie więcej niż mężczyźni — cichcem

rium i próbował wynaleźć jakieś zastępcze szkliwo. Przy każdym po-bycie w Białymstoku chodziłem do niego, nagabywałem, że jak coś tylko wymyśli, niech nam da. Jemu się udało, nam nie. Długo musieliśmy praktykować, żeby zamiast „charesu” (kafła z popękanym szkliwem) wypaliła się dobra polewa.

Tak żeśmy biedowali, dopóki w Łomży nie sprzątnęli gruzów. A po dwóch latach daliśmy się upaństwowić. Przejęło nasze zakłady Ministerstwo Budownictwa i Produkcji Materiałów Budowlanych. Otrzymaliśmy angażę, mieliśmy zapewniony zbyt. Wracałem wtedy z Warszawy uradowany wielce. Wiozłem kilkadziesiąt złotych zaliczki dla robotników. Wypłacili mi w banku do ręki. Już tak pod Ostrołęką banda zatrzymała pociąg. Weszli wśród pasażerów. A ja z taką forszą! Na szczęście w teczce tego nie wiozłem, trzymałem przy sobie. Nawet na mnie nie spojrzeli. Niepozorny wtedy byłem.

ALICJA ZAGÓRSKA
Fot. GABOR LÖRINCZY

Amaw post



Trzy horyzonty

Nie jest to, niestety, jeszcze „wyjście na prostą”. Jak długo „normalizacja rynku” odbywa się przez ograniczenie tzw. siły nabywczej, a nie przez wzrost produkcji, tak długo trudno mówić o tym, iż zaczęliśmy się wydobywać z kryzysu. W kryzysie tkwimy jeszcze głęboko, ilustrują to nie tylko dane dotyczące „rynku konsumpcyjnego”.

Trwa redukcja inwestycji, bo nadal dochód narodowy do podziału przekracza dochód narodowy wytworzony, a już w roku ubiegłym udział inwestycji zmalał do poziomu, który grozi dekapitalizacją majątku narodowego. Spada import zwłaszcza z krajów tzw. II obszaru płatniczego, bo nie ma czym za ten import płacić, a już w roku ubiegłym na 26 krajów, wymienianych w „Małym Roczniku Statystycznym 1982”, jedynie dwa charakteryzowały się mniejszymi wielkościami zakupów zagranicznych w przeliczeniu na jednego mieszkańca. Jeszcze w 1980 rozmiary importu w przeliczeniu na mieszkańca przekraczały o blisko 100 dolarów średnią światową; w roku 1981 były od tej średniej niższe.

Tu także „powrót do równowagi” odbywa się nie przez zwiększanie zdolności gospodarki do zaspokajania jej potrzeb, a przez ograniczanie potrzeb, ze wszystkimi tego skutkami konsekwencjami. Np. w dziedzinie inwestycji — spadek nakładów objął również budownictwo mieszkaniowe. Liczba przekazanych do użytku mieszkań będzie prawie o połowę mniejsza od liczby zawieranych małżeństw, a był już okres, gdy obie te liczby w zasadzie zrównały się. W dziedzinie handlu zagranicznego — zmniejszenie importu, dotyczące także zaopatrzenia materiałowego, wyłączyło z produkcji ok. 1/3 zdolności wytwórczych w przemyśle przetwórczym. Szacuje się, że ubytek zaopatrzenia materiałowego z importu o wartości 1 złote grozi zmniejszeniem produkcji finalnej przemysłu o 4,3 złote, w tym produkcji przeznaczonej na rynek — o 1,8.

Gospodarka rządzi się twardymi prawami i jest jasne, że na rynku nie może być więcej pieniędzy niż towarów, nie może być więcej inwestycji, niż jesteśmy w stanie ich udźwignąć, więcej importu, niż mamy dewiz na jego opłacenie. Ograniczając potrzeby, a nie zwiększając zdolności gospodarki do ich zaspokajania, daleko jednak nie zajdziemy. Dlatego m.in. na VIII Plenum KC PZRR wysunięto postulat jak najszybszego opracowania planu w trzech horyzontach czasowych, który realistycznie, ale konsekwentnie zastąpiłby dotychczasowe „mechanizmy odwrotu”, polegające na ograniczaniu potrzeb, mechanizmami „wzrostu”, tzn. — przystosowaniem gospodarki do tego, by zwiększać jej zdolności do zaspokajania potrzeb: konsumpcyjnych, inwestycyjnych, importowych itp.

Krótko, bo są to sprawy dość dobrze już znane: horyzont pierwszy obejmowałby miesiące najbliższe, w zasadzie rok bieżący. W tym czasie nastąpić powinno powstrzymanie regresu gospodarczego, osiągnięcie pewnego postępu, przynajmniej na kluczowych odcinkach gospodarki, wyłączenie z dalszego spadku stopy życiowej przynajmniej grup społecznych najsłabszych materialnie. Horyzont drugi — w zasadzie lata 1983—1985 — cechować powinno zminimalizowanie dysproporcji strukturalnych w gospodarce narodowej, pełne wdrożenie reformy gospodarczej, osiągnięcie, w ogólnym przynajmniej zakresie, stabilizacji ekonomicznej, osiągnięcie, częściowej choćby, poprawy sytuacji materialnej społeczeństwa. Horyzont trzeci, stanowiący swego rodzaju „pomost” między fazą opanowywania skutków kryzysu oraz fazą stosunkowo już zharmonizowanego rozwoju, to druga połowa lat osiemdziesiątych: 1986—1990. W tym czasie powinno nastąpić odczuwalne oddłużenie się w krajach kapitalistycznych, przywrócenie, ugruntowanie już w zasadzie, równowagi ekonomicznej i stabilizacji społecznej. Powinno to być także okres, w którym nastąpi powszechna i odczuwalna poprawa warunków bytowych, zwłaszcza w takich dziedzinach, jak budownictwo mieszkaniowe, ochrona zdrowia, komunikacja.

To rzuca się w oczy: od połowy grudnia ub. roku — tj. od chwili ogłoszenia stanu wojennego — ponownie odzyskały wartość takie określenia, jak „disciplina pracy”, „porządek”, „poczucie obowiązku”. Ale też nikt nie ma złudzeń: jeśli za miarę postępu w gospodarce przyjmie zdolność jej do zaspokojenia potrzeb rynku, to dotychczasowe zmiany w tej dziedzinie nie są zbyt wielkie. Owszem, nastąpiło pewne „uspokojenie rynku” na niektórych przynajmniej odcinkach, dotyczy to przede wszystkim towarów reglamentowanych, jednak, jak do tej pory, głównie w wyniku podniesienia cen, a nie zwiększenia produkcji.

KRZYSZTOF
KRAUSSpowrót
do
elementarza

organizacji produkcji i pełniejszemu wykorzystaniu tzw. czasu kalendarzowego — w pełni realne staje się wydobycie w roku 1982 ponad 180 milionów ton węgla (w roku ub. wydobycie 163 miliony ton), rośnie także wydobycie pozostałych kopalin, np. siarki, miedzi.

W przyszłości należałoby dążyć do tego, by co najmniej utrzymać obecny poziom wydobycia, ale tak zaprogramować pracę kopalń, aby górnicy pracowali 5 dni w tygodniu, kopalnie zaś powinny być w ruchu przez 6 dni.

Jest to możliwe; możliwe jest nawet pogodzenie ciągłego ruchu kopalń z 5-dniowym tygodniem pracy górników lub — w perspektywie — z dalszym jeszcze skróceniem ich czasu pracy, trzeba jednak do tego przygotować się koncepcyjnie i organizacyjnie. Wszelką dyskusję na te tematy paraliżowała jednak dotychczas opozycja kierownictwa NSZZ „Solidarność”, łącznie z sabotowaniem specjalnego nagradzania za pracę w wolne soboty, co doprowadziło do porozumienia podpisanego we wrześniu 1980 r. w kopalni „Manifest Lipcowy”. W ten sposób straciliśmy kilkanaście miesięcy i obec-



Przełamywanie impasu

Jasne są intencje, z których wynika postulat Plenum; jakie są szanse, by zakreślony przez Plenum „scenariusz” wychodzenia z kryzysu stał się rzeczywistością? Otóż te szanse są, a stworzyło je — po pierwsze — położenie kresu światowej kampanii destrukcyjnej, prowadzonej przez ośrodki antysocjalistycznej opozycji, skupionej w kierownictwie NSZZ „Solidarność”, po drugie — szeroka pomoc, z jaką popieściliśmy nam pozostałe kraje socjalistyczne, przede wszystkim Związek Radziecki.

Co zmieniło się od grudnia 1981 roku? Ustała blokada inicjatyw, zawierających w sobie — nawet w warunkach istniejących ograniczeń kapitałowych, dewizowych itp. — możliwości przerwania „biegu do tyłu” w tych dziedzinach, w których wyniki produkcji zależą przede wszystkim od dyscypliny wytwórczej, od naszej własnej pracy. Dotyczy to wydobycia krajowych surowców, zwłaszcza węgla; częściowo dotyczy także rolnictwa. W przemyśle wydobywczym wyniki są już widoczne. Dzięki lepszej

nie trzeba będzie dyskusję na te tematy rozpocząć od nowa, płacąc za opóźnienie tej dyskusji zarówno utratą wielu rynków zbytu za granicą (przejęły je USA, RPA i Australia), jak i przejściowym powrotem do 6-dniowego tygodnia pracy.

Faktem jest, że w przemyśle surowcowym już został przełamany impas produkcyjny. Chodzi teraz o to (i w tym m.in. zawiera się szansa powstrzymania jeszcze w roku bieżącym dalszego regresu gospodarki, zaś w latach następnych stopniowego odzyskania zdolności do rozwoju), by prawidłowo zagospodarować zwiększoną podaż surowców krajowych, to znaczy: tak przeprofilować branżę przetwórczą przemysłu, które ciągle jeszcze znajdują się „w odwrocie”, a produkcja w nich spada, by surowce krajowe mogły w szerszym zakresie zastąpić surowce kupowane dotychczas za granicą. Przynajmniej w niektórych z nich (np. w chemii) jest to możliwe. Z drugiej strony, wykorzystując fakt, że nasze surowce cieszą się na ogół dobrą marką na rynkach międzynarodowych, zwiększoną podaż tych surowców można wykorzystać na wymianę jednych ro-

dzajów surowców na inne. Wtedy nastąpi nie tylko ilościowe, ale również asortymentowe umocnienie „zasilania materiałowego” branż przetwórczych, co powinno oddłokować jedną z najistotniejszych możliwości przełamania impasu w gospodarce.

Nadzieje i zagrożenia

Bardziej skomplikowana jest sytuacja w rolnictwie, które nie tylko bezpośrednio zaopatruje nasz stół, ale jest zarazem bazą surowcową dla ok. 1/10 polskiego przemysłu. Specjaliści twierdzą, że stać nas na względną samowystarczalność w tej dziedzinie produkcji. Dysponujemy stosunkowo dużym — większym niż wiele pozostałych krajów europejskich — arealem użytków rolnych, nie jesteśmy już na szarym końcu w wyposażeniu rolnictwa w środki produkcji (w użyciu nawozów sztucznych zbliżyliśmy się do poziomu Austrii i Danii, wyprzedziliśmy NRD, Czechosłowację, Bułgarię, Węgry). Ale i w tej dziedzinie uwikłaliśmy się w zależności importowe, które trudno uzasadnić ekonomicznie. Trzeba będzie czasu, by uporządkować te sprawy, jednak i to mieści się w granicach możliwości. Tu również straciliśmy wiele miesięcy na świadomie wywołane konflikty wokół problemów, które z usunięciem przeszkód na drodze do wzrostu wydajności rolnictwa niewiele miały wspólnego; teraz można przystąpić do rozwiązywania problemów rzeczywistych.

Kolejną szansą, określającą realność trójetapowego wyjścia z kryzysu, jest — jak już wspomniałem — pomoc bratnich krajów socjalistycznych. Wyraża się ona, z jednej strony, otworzeniem możliwości kredytowych na znacznie korzystniejszych warunkach, niż oferowały jej banki zachodnie, a przez pewien jeszcze czas bez zagranicznych kredytów się nie obejdziemy, z drugiej strony — i to ma znaczenie najistotniejsze — w ułatwieniu dostępu do surowców, materiałów, komponentów itp., które te kraje wytwarzają, oraz gotowości do rozwinięcia na znacznie szerszą niż dotychczas skalę trwałych form kooperacji, specjalizacji itp. Ważną formą pomocy, przede wszystkim służącą zapobieganiu bezrobociu w naszym kraju i moralnemu zesterzeniu się ogromnego potencjału wytwórczego, korzystną dla obu stron, jest otwartość na różnego rodzaju inicjatywy dotyczące wydzierżawienia przez nas tym krajom chwilowo wolnych mocy produkcyjnych w przemyśle: lekkim, maszynowym, hutniczym i niektórych innych.

To są materialne podstawy do tego, by — licząc przede wszystkim na własną pracę, bardziej efektywne mechanizmy zarządzania, operatywność sztabowych ośrodków kierowania gospodarką, jak samodzielnych, samorządnych i samofinansujących się przedsiębiorstw — przerwać narastanie kryzysu i już w połowie tej dekady „wyjść na prostą”. Tak, jak to sformułowano na VIII Plenum KC PZPR: rok 1982 — powstrzymanie spadku produkcji, lata 1983—85 — opanowanie najbardziej ciężących na efektywności gospodarowania dysproporcji strukturalnych, lata 1986—1990 — stopniowa harmonizacja gospodarki i przywrócenie jej zdolności do rozwoju.

A zagrożenia? Te też są. Zawierają się one — po pierwsze — w groźbie rozniecenia na nowo konfliktów, prowadzących w prostej linii do konfrontacji, po drugie — w nadmiernej niecierpliwości, gdy chodzi o pozytywne efekty „konsumpcyjne” podejmowanych działań antykryzysowych, które pojawiać się mogą tylko stopniowo i nie w stosunku do wszystkich grup społecznych jednocześnie; w pierwszej kolejności koncentrować się one powinny w rodzinach, które już teraz znalazły się w granicach lub poniżej minimum socjalnego, inaczej rozplyną się albo wręcz zaostrożą te dysproporcje materialne, jakie już teraz występują w naszym społeczeństwie. Po trzecie — zagrożeniem może być odwrót od kierunkowych założeń reformy gospodarczej, nawrót do tego stylu i tych metod zarządzania, które w połowie lat siedemdziesiątych zapoczątkowały wchodzenie kraju w strukturalny kryzys, a już wcześniej ograniczały możliwości efektywnego, racjonalnego gospodarowania.

Fot. GABOR LÖRINCZY



Zapowiadał Polskę wolną i sprawiedliwą wtedy, gdy jeszcze na jej ziemiach mocno siedział wróg i dymiły krematoria do których szły kolejne transporty ofiar; na ulicach miast odbywały się łapanki. Niebawem miało rozpocząć się i jakże krwawo upaść. Powstało Warszawskie. W jaki sposób w owych skomplikowanych warunkach ten wielki dziejowy dokument docierał do uszu i świadomości Polaków? Jakże wywoływał reakcje? Czy przynosił im rzeczywistą wiarę w lepszą przyszłość Polski, czy stanowił też kolejną utopijną jej wizję? Z pytaniami tymi zwracam się do łomżyńskiego kombatantha i weterana ruchu robotniczego, Wacława Boguckiego, wiceprezesa Zarządu Wojewódzkiego Związku Inwalidów Wojennych.

— Z Manifestem Lipcowym zetknąłem się zaraz w roku 1944, na kilka dni przed wyzwoleniem Łomży. Pewnego dnia nadleciały radzieckie samoloty i zrzucały ulotki. Jedną z nich dotarła do moich rąk. Zapowiadała rozgromienie Niemiec i odbudowę Polski demokratycznej, w której ziemią należeć będzie do chłopów, a fabryki, hut, kopalnie — do robotników. Idee te bardzo mnie ucieszyły, bo mówiły o innej władzy niż niemiecka, okupacyjna. Takie informacje porównywały natychmiast. Stałem się jak najszybciej zostać ich udziałowcem i propagatorem, bo były po mojej myśli.

Wprawdzie przed wojną rodzina moja nie należała do najniższej sytuacji (ojciec pracował w straży granicznej, a w tym zawodzie nigdy nie jest źle), to jednak widziałem ubóstwo choćby naszej kurpiowskiej wsi. Ojciec ze służby często wracał nad ranem i lubił sobie ufundować gorącą herbatę. Gdy tylko rozniecił ogień, zaraz do niego przychodził gospodarz z kawałkiem blachy i brał rozżarzone węgielki; w ten sposób rozpałał w swojej kuchni. Od niego przerosł go do swego domu następnego, i tak jedną czwartą zapalki rozpoczynała dzionek cała wieś. Za opał wystarczały przeważnie uzbierane w lesie szyszki, gałązki. Węgiel był tylko od czasu do czasu, i to nie u każdego. Teraz rolnicy walczą o buty gumowe, gumofilce. Oczywiście, powinno być tego na rynku pod dostatkiem. Wtedy można je było znaleźć w każdym sklepie, tylko nie wszyscy mogli się w nie zaopatrzyć. We wsi, w której mieszkalem do dziesiątego roku życia, chłopci na padłą krowę czatowali jak sępy, bo można z niej było ściągnąć skórę i zrobić sobie solidne buty.

Pragnąłem przyszej Polski bogatszej dla każdego Polaka, aby nie było ubogich, głodnych i poszukujących pracy. O taką ojczyznę gotów byłem się bić, chociaż szukałem możliwości walki z Niemcami także dlatego, że podbili mój kraj i pastwili się nad bezbronną ludnością. Zanim do miasta wkroczyły wojska przynoszące wolność, pracowałem w cegielni jako robociarz; wymykałem się z czasem przerw, by przewieźć AK-owskie ulotki i gazetki. Tam wtedy nie mówiło się o ustroju, lecz o walce z Niemcami. Manifest konkretyzował, od razu wyjaśniał, i to też mi się bardzo podobalo.

Po raz drugi zetknąłem się z tym dokumentem tuż po wyzwoleniu Łomży. Wówczas to na ulicy Polnej (dzisiejszej Armii Czerwonej) odbyło się uroczyste spotkanie mieszkańców z wyzwolicielami miasta. Jakież wtedy wrażenie wywarły na mnie polskie mundury! Podchodziłem coraz bliżej, by lepiej je obejrzeć. Ubrani w nie ludzie opowiadali o przyszłej Polsce, czytali Manifest Lipcowy, rozdawali plakaty z treścią. Niebawem była nimi oblepiona cała Łomża.

Pamiętam, zaraz po ewakuacji, w ostatnich spodniach, butach i sweterku, udałem się przez Czerwony Bór do Zambrowa, gdzie polska władza dokonywała zapisów do wojska. Wszędzie po drodze spotykałem rozkładające się niemieckie trupy. Widok ów brzydził, ale jednocześnie i podnosił na duchu. Uświadamiał, że jest wreszcie siła na świecie zdolna do pokonania wroga; budził nadzieję na szybsze wyzwolenie Polski. W Zambrowie natknąłem się na konwoj trzech samochodów dla naszego wojska. Jednym z nich zabrałem się do Białegostoku, gdzie otrzymałem przydział do IV Zapasowego. Traf chciał, że na kilka dni przed wyruszeniem na front rozłożyła mnie grypa. Wpadli do szpitala uszczęśliwieni koleźcy, cieszyli się, że jadą tuż

Niemców, żegnali się ze mną, a ja im na to: „O nie, tak dobrze nie będzie!” Szybko wskoczyłem w mundur i, nim lekarz się zorientował, byłem już poza zasięgiem jego władzy.

Do dziś bardzo mi się podoba tamta nagła decyzja. Nie zastanawiałem się nad tym, czy potrafię się bić. Przecież liczyłem wówczas niecałe 20 lat. Ale jakoś zawsze dawałem sobie radę, choć włos na głowie jeżył się nie raz. Najbardziej tragiczna sytuacja zdarzyła się w Mazanowie, miejscowości nazywającej się niegdyś Marienhof. Jednym batalionem wysunęliśmy się wówczas za daleko do przodu i zostaliśmy przez Niemców przyciśnięci do muru. Ostrzeliwaliśmy się zza budynków majątku. Było nas 24. Nagle od uderzenia pocisku część ściany obsunęła się i przycisnęła mi bok. Tylko co zdążyłem się wygrzebać, doczołgać się do palacyku, gdzie było dziewięciu naszych rannych żołnierzy, a już wszędzie dookoła pojawili się Niemcy. Więc ja wycofałem się na zewnątrz, do parkanu, a przez otwór w nim odwołłem się w bezpieczne miejsce. Trzymałem pistolet gotowy do strzału, aby w ostateczności przyspieszyć swoją śmierć. Na taką ewentualność było przygotowanych wielu kolegów. Niemcy nie patrzyli: ranni nie ranni, brali za nogi, za ręce i wrzucali żywcem do ognia. Jakże często spotykaliśmy, powiązane drutem kolczastym, spalone zwłoki. Tamtych dziewięciu rannych w palacyku też spotkał podobny los: powrzucał ich do płonącego chlewnika. To jest właśnie zdumiewające, że nas tępił z taką nienawiścią, a sami, nie mając już amunicji, prosili o ocalenie i byli wtedy potulni jak baranki, chętniej godząc się na niewolę u nas niż u Rosjan.

Oczywiście, zdarzały się i przypadki miłsze. Szedł człowiek do lasu i nawet nie spodziewał się, że wyciągnie stamtąd ukrywającego się generała z kilkoma oficerami. Tak pojąłem przecież Schleinitza, dowodcę 402 dywizji. Było to koło Żarnówki. Zaczepilem w lesie o korzeń, patrzę, a tam kilkanaście wystających nóg. Gdyby się bronili, trudno by-

mat tuż przed natarciem. Może dlatego, żeby nie myśleć o najgorszym? A reakcje przed bitwą były różne. Jeden siedział skupiony i nawet nie słyszał, co do niego się mówi, inny grał na harmonijce lub śpiewał piosenki, jeszcze inny pisał list, obawiając się, czy nie ostatni. Ja też miałem taki swój list. Przez pewien czas nosiłem go ze sobą zastanawiając się, czy przed bitwą, która niebawem ma się stoczyć, wysłać go do rodziny,

rymi przyciągnęły kłopotliwe hasła: „Jaka płaca, taka praca”, „Wacek, trzymaj ścanę, a ja pobiegę po premię”. Wytworzyły się niekorzystne mechanizmy, przełożyła się społeczna mentalność i powstało przekonanie, że państwowe znaczy — niczyje. A przecież byliśmy pokoleniem wychowanym w duchu patriotycznym! I nagle traktujemy to państwo, które zażądało od nas daniny z krwi, jako zło konieczne? Przy



czy jeszcze poczekać. Jednakże, gdy przytrafiały się paskudniejsze sytuacje, jak tamta z palacykiem, po myślałem sobie, że to nie żarty, i oddałem go mojemu najlepszemu koleźce, aby, gdy będę wędrował już do Bozi, przesłał go do mojej rodziny. Trafił do domu po 1 maja 1945 roku z adnotacją na odwrocie, że jestem ciężko ranny, ale na pewno się wyliżę.

Autora adnotacji szukałem przez 33 lata. Bardzo pragnąłem się z nim spotkać; wiedziałem, że żyje. Przypadkiem trafiłem na jego ślad na Wybrzeżu. W Sopocie poinformował mnie, że jest w Oliwie, a tam, że w Pruszczy Gdańskim. Wreszcie spotkanie doszło do skutku. Było święto w całym oddziale Rejonu Dróg Publicznych, w którym pracował.

Co myślę o Manifestie teraz, po tylu zakrętach, sprostowaniach, odnowach i naprawach? Wydaje mi się, że na pewno inaczej byśmy startowali w nowy ustrój, gdyby zaraz po wojnie społeczeństwo było przygotowane do wprowadzenia reformy: nacjonalizacji przemysłu, parcelacji gruntów rolnych. Ileż rzeczy się w tym wszystkim zniszczyło, że wspomnę choćby o dworach. A czy trzeba było walczyć z chłopami i na siłę zakładać im spółdzielnie produkcyjne? Gdy im się znudzi prywatne użytkowanie ziemi, w co raczej wątpię, z czasem sami do tego dojdą. Jednakże upór ów, zarówno z jednej, jak i drugiej strony, hamował tylko rozwój naszego rolnictwa. A gdybyśmy wtedy dopomogli mu stanąć na nogi, bez względu na to, w jakiej postaci, na pewno to ostatnie wielkie potknięcie naszej gospodarki nie byłoby takie bolesne i dokuczliwe.

W pogoni za czystością idei straciliśmy wiele cennych wartości. Jedną z nich jest, moim zdaniem, szacunek dla pracy. Przecież zaraz po wojnie przez 6 lat byłem dyrektorem przedsiębiorstwa i, proszę mi wierzyć, nikt nie spytał mnie, ile dostanie, tylko przychodził i pracował. Nie urywał się w czasie przerwy na piwko czy po zakupy, ale robił tak uczciwie, jak u siebie. Gdybyśmy byli wówczas mądrzejsi, stworzylibyśmy do pracy odpowiedni system motywacyjny. A my w pierwszej kolejności wymyśliśmy dniówki, za któ-

czyn dopatruję się w niewłaściwym rozumieniu idei Manifestu Lipcowego. Powinniśmy tak ustawić wszystkie sprawy, aby każdy Polak był pewny swojej pracy. Jeśli rzemieślnik otworzył zakład, należało mu dać takie przepisy, aby nie opłacało mu się od tego przedsięwzięcia odchodzić. Dzisiaj szewców czy krawców szukać choćby ze świecą w ręku, a przecież przed wojną i zaraz po jej zakończeniu mieliśmy ich bardzo dużo. Gdyby ten cały potencjał ludzki udało się nam właściwie przechwy-

Po powrocie do Łomży trafiłem do przedsiębiorstwa budowlanego. Wznosiliśmy wtedy pierwsze budynki przy ulicy Rządowej i Pocztarskiej, lecznicę zwierząt, szkoły podstawowe nr 2 i 7. Też mieliśmy kłopoty: brakowało sprzętu, materiałów, ale żadnej inwestycji nie ciągnęliśmy, dłużej niż rok. A teraz tyle samochodów, tyle maszyn, i osiemdziesiąt lat wszędzie traktuje się jako rzecz normalną. Nie ma żadnych sankcji za opieszałość. Dla nas wtedy niewykonanie czegoś zgodnie z terminem było ogromną ujmą dla firmy. Właśnie, może jakaś potęga drzemie i w tym słowie, które zastąpiono „zakładem pracy”, „przedsiębiorstwem”. U mnie firma musiała znaczyć firmę: porządek, robotę na czas i solidne wykończenie. Teraz przejdźmy się choćby po osiedlu Południe; ileż tam bałaganu, partactwa, majstrów bez głów. Przy takim zarządzaniu nawet dziesięć Manifestów Lipcowych nie pomoże! Przede wszystkim musi się zmienić mentalność tych ludzi, powinni bowiem wiedzieć, że pieniądze rzeczywiście można brać tylko za solidną robotę.

Tyle czasu mówimy o reformie, ale czy ktoś wie, jak ją wprowadzać, aby nie popełnić nowych błędów? Muszą być do tego przedsięwzięcia przygotowani ludzie, a nie wybrani na chybił — trafił, którzy odwalą sprawę i będą mieć ją — mówiąc po uczniowsku — z głowy. Jeśli tak postąpimy, na pewno jeszcze długo nie będziemy mieć spokoju, jak po wszystkich wykrzywionych punktach Manifestu.

Repr. GABOR LÖRINCZY

Spojrzenie na Manifest

STANISŁAW
ZIELIŃSKI

łoby ich stamtąd wydobyć, taka gestwina. Ale widać dobrze orientowali się, że są okrażeni i już robili, bo opuścili granaty i sami wyszli z tej kryjówki: generał, 3 oficerów i 18 podoficerów.

Na froncie nie spotykałem się z Manifestem Lipcowym. Czasami prowadzono zajęcia z tego tematu, ale przede wszystkim pilnowano bojowej sprawności żołnierzy. W parze z politycznymi informacjami musiał iść wypoczynek wojska. Niemniej jednak, gdy staliśmy nad Wisłą czy nad Zalewem Szczecińskim, kształt przyszłej Polski powracał jak bumerang. Mówili o tym oficerowie polityczni, dyskutowali ze sobą żołnierze. Wielu z nich gadało na ten te-

historia i dzień dzisiejszy





Na sali rozpraw Sądu Rejonowego w Ostrołęce stawili się w ostatnim dniu czerwca ponad 30 osób — nie licząc stron i siedmiorga świadków — ze wsi Łyse, zbiegło się także kilka pracowników Sądu.

Przewodniczący składu orzekającego, Krzysztof Nejman, ponawia apel sprzed dziesięciu dni wobec siedzących naprzeciw siebie równieśników (notabene: żadna z nich nie pamięta, w którym roku przybyła na świat) o pogodzenie się. — Najlepszy wyrok — tłumaczy — jest gorzszy od ugody. Pogodźcie się dla dobra sąsiedzkich stosunków i dla spokoju wsi. Pani Baldygowa skłonna jest nawet przeprosić. Potem podpiszecie oświadczenie, że **ja** nie mam do siebie pretensji. Sąd także podpisze, a ten dokument będzie miał moc wyroku.

— Nie, proszę Wysokiego Sądu! —
upiera się Szablakowa. — Jeżeli już
tak poszło, że mnie na cało Pols-
kę opisali, to niech się dzieje, co
chce.

— Trudno. Otwieram zatem przewód dowodowy przeciwko Antoninie Baldygowej, którą obecna tu Marianna Szablakowa oskarża o to, że „w dniu 6 czerwca 1982 roku o godzinie 15.30 we wsi Łyse, w miejscu publicznym, używała w stosunku do mnie słów powszechnie uznanych za obraźliwe wyzywając mnie od kociich wiarów, od głupich, szatańców i usiarzów, to jest o czyn przewidziany art. 178 §.1”. Czy oskarżona przyznaje się do winy?

Oskarżona nie bardzo rozumie pytanie, zaczyna więc opowieść od początku, czyli od okoliczności pojawienia się ducha. Sędzia jednak chce usłyszeć jednoznaczna odpowiedź: — Proszę powiedzieć, czy pani przyznaje się do wypowiedzenia obraźliwych słów pod adresem Szablakowej?

— A skąd! Nie przyznaję się. Bo to było, proszę Sądu, tak — wraca do poprzedniego wywodu, a sędzia już jej nie przerywa. Czyni to rzecznik oskarżycielki, który wkracza na salę po kilkunastu minutach trwania procesu — po to tylko, aby zapowiedzieć swój powrót z rozprawy przebiegającej obok.

Przewodniczący ogłasza pięciominutową przerwę i trzyosobowy zespół orzekający wraz z protokolantką udaje się na zaplecze. W sali zalega nerwowa cisza, przerywana z rzadka szeptami. Dopiero po 16 minutach może Antonina Baldygowa podjąć przerwana opowieść, bowiem po takim czasie zabiegany mecenas zajmuje miejsce obok swojej klientki.

— No więc na różańcu u Szymańskich, w obecności czterech innych kobiet, zwróciłam uwagę Szablakowej, aby nie nagrywała duchów i nie straszyla nimi moich dzieci.

— W jakim wieku są te dzieci?

— Od 15 do 18 lat; z siedmiorga
czwórkę mam jeszcze na utrzyma-
niu. W styczniu wróciły z tego wy-
wolywania jakieś nieswoje, mocno
zdegenerowane, i tylko do leczenia
się nadawały. Wcale nie chciały wy-
chodzić na podwórkę. Pytam jedno,
drugie, milczą. Wreszcie przycisnę-
łam najmłodszego. On najczęściej ze
mną przesiaduje, to i najbardziej
do mnie jest szczerzy. Ale i on nie
nie chce mówić. Gada, że się boi
bo jak coś zdradzi, to oślepnie
albo mu ręce uschną. Tak niby
duch Wyszyńskiego zagroził. Prze-
straszyłam się. Zabroniłam dzieciom
tam chodzić, bo to nie dobre; du-
chy z tamtego świata nie wracają
się do ludzi. Ale dzieci się uparły:
„Mamo, to nie może być złe, skoro
wszyscy się schodzą i modlą”. Wi-
dzę, że nie dam rady, więc mówię:
idźcie do proboszcza. Poszły. Wróci-
ły już całkiem inne, zdrowe.

— W jaki sposób książdż je wyleczył?

— Prawdę uświadomił, choć niczego innego nie powiedział niż ja. No gadał, że duch na tamśm wcale nie wejdzie, tylko ktoś ten głos musi nagrywać. Już myślałam, że się ta sprawa dla mnie skończyła, ale gdzie tam! Słyszę, że Szablakowa tu i ówdzie językiem mi dopieka, przy sąsiadach dogryza, w magazynie GS-u ubliża. Mówi, że ducha zdradziłam, więc diabeł mam za skórą. Radzili mi ludzie, abym ją zaskarżyła, ale ja wolę być cierpliwa niż mściwa.

— Oskarżoną sąsiedzi namawiali, aby podała do sądu obecną tu... — dyktuje sędzia do protokołu. I co było dalej? Może pani już przejdzie do okoliczności waszej sprzeczki.

— Już, proszę Wysokiego Sądu. Ona wcale nie przestała moich dzieci namawiać, aby do niej przychodzili, więc ja jej na różańcu u Szymańskich mówię: „Marysia, daj spokój z tymi duchami. Widzisz, jaką krzywdę wyrządziła swoim dzieciom”. A potem obśmiałam się: „Czyten Wyszynski dalej do ciebie mówi?” Wreszcie powiedziałam, aby raz na zawsze zostawiła moje dzieci w spokoju, a zajęła się wszami swojej najmłodszej, co to je, za przeproszeniem, higienistka w szkole musi wybierać. Wtedy ona mnie wyzwala od szatańców, bo nie chodzę do niej na modły, a tam duch święty przemawia. Musiała tak mówić często i przy każdej okazji, bo nawet moja córka ze szkoły przyniosła takie pytanie: „Mamusiu, czy to prawda, że masz za skórą diabła?” No, ogłupia mi dzieci i nie patrzy na to, że jej już były w związku z duchami na leczeniu.

— Dzieci oskarżycielki były na le-
czeniu w związku z duchami... To
już wszystko? Czy pan mecenas ma
jakieś pytania?

— Tak. Czy pani ma żal, czy skarga? Żyłaby się komuś na Szablaków? Bo wiadomo, że u nich była milicja. Pani nie wie, kto doniósł?

— Na milicji nie byłam, tylko przyznaję się, że wysłałam cie do proboszcza.

Sędzia ponownie zwraca się do stron o wzajemne wybaczenie sobie win i powrót w zgodzie do domu. Szablakowa raz jeszcze odmawia. Sędzia zatem udziela jej głosu.

— Na różańcu mózila do mnie obrazie słowa. Zebralo sie sesz kobzieta, ja przysla ostatnia. Ona tak zacela: „Dobrze będzie na świecie, jak zacno duchy mózić”. To ja na to: „Co ciebie obchodzi!” A przecie najpierw w jej domu te duchy były wywołane; klucz trzymała jej córka i mój syn! Wywołali Wysynskiego; nie chciał jem odejść, to spytali, cy odejdzie, jak mu nagrają pobożne pieśni. Zgodził sie. Potem, na obrazie u mojej córki, też nie chciał odejść. Spytali, cy odejdzie, kiedy mu odegrają te pieśni (nie ziem, czemu jego właśnie wywołali; ktoś jem musiał poradzić). Na pieśniach przyszed ten głos, zało sny głos, wszystkie plakali. Potem my wzięli magnetofon do domu i głos sie powtórzył. Kardynał przeprowadzał misję u nas. Później pożegnanie z nami wszystkimi zrobził i odsed. — Szablakowa coraz mocniej podpiara się łkociami o balustradkę. — A na różańcu oskarżona wyzywała mnie od kpcich wiarów, satanów i wsiarżów.

— ...szatanów i wsiarżów — dyktuje sedzia.

— Nie wsiarżów, tylko wsa... wsiarżów — poprawia Szablakowa. —

Co z tego, że syn w szpitalu? Ale nie bez duchy. On tych słów wcale nie słysał. Proboszcz mógł: krótkochwałowa. Nie ziem, co to jest, bo i skąd ja, głupia kobieta, mogę ziedzieć? Ale jak tak można gadać! Ot, cudownie wesoło i cudownie zeso! — Śmiech na sali. — A tu tyle nieprzyjemności. Wizyta milicji za takie dobre słowa!

Nie czeka na swoją kolejność Baidygowa: -- Zaden cudowny głos! To wszystko nagrane.

— No i patrzcie — wyciąga ręce w stronę sędziego Szablakowa — jeszcze i tu ubliża. Właśnie ja dlatego chcę sprawy, żeby ona takich obraźliwych słów mi nie gadała!

Nie wszyscy z siedmiu świadków uczestniczyli w pamiętnym różnicu; np. Stanisław Szymański przebywał w tym czasie w kuchni, czyli dzieliła go ściana od modlących się kobiet. Ale dokładnie słyszał rozmowę. Nie było w niej żadnych obraźliwych słów. Ot, Baldygowa spytała Szablakową: czy jej te duchy nadal gadają, a ta odpaliła: „Ty mnie i mojego ducha pocaulaj w dupę!” Na to pierwsza: „Rob sobie, co chcesz, ale nie wciągaj moich dzieci; swoimi się zajmij, bo mają wszy”.

Podobnie zeznają trzy obecne na różańcu kobiety. Nieobecne przytaczają ich relacje, a także opinie wsi na temat „cudu” u Szablaków.

— Było duże zdenerwowanie we wsi w związku z duchem — mówi 29-letnia Zofia Gregorczyk. — A ci, którzy Głosu posłuchali i nie uwierzyli, bali się obiecanych kar: uschnięcia rąk i nóg, oślepienia albo wylewu. Dobrze, że się ta sprawa przy pomocy milicji i Bałdygowej trochę wyjaśniła, bo nie sposób było żyć.

Natomiast uwaga rzecznika oskarżycielki zdaje się koncentrować na trzech momentach całego kompleksu faktów. Skoro wszyscy świadkowie (także i Szablakowej) nie potwierdzili żadnego z zarzutów sformułowanych w akcie oskarżenia, mecenas próbuje ustalić: czy nie kontaktowali się oni przed procesem z Baldygową, czy byłoby im miło, gdyby sami zostali posądzeni o kontakty z „kocią wiarą” i czy lubią domowe wizyty milicji. Jeśli któryś twierdzi, że o procesie dowiedział się dopiero z pozwu, otrzymuje od rzecznika miano świadka niewiarygodnego; w przeciwnym razie słyszy, że był przez oskarżoną nastawiony. W dwóch pozostałych kwestiach przewodniczący składu czczającego musi hamować zapędy mecenasa, bowiem formułuje on pytania w sposób narzucający jednoznaczność — a przy tym mocno niezręczną — odpowiedź. Reginę Krzywoniek pyta np., czy czułaby się pokrzywdzona, gdyby ktoś stwierdził, że jest jehowitką, a Leokadię Czyż

o to, czy sprawiłaby jej przyje-
mość wizyta milicji. Próbuje tak-
że zasugerować świadkom twierdze-
nie, jakoby funkcjonariusze zostali
„nasłani” na Szablaków przez Bał-
dygowa, i to po różańcu u Szymań-
skiej, bowiem zapomniał ustalić ze
swoją klientką, że rewizja w jej do-
mu odbyła się dwanaście dni
przed przedmiotową scysją obu ko-
biąt.

W związku z tym, że świadkowie mówią niezgodnie z jego — wcześniej przygotowaną — mową obrońcą, zupełnie lekceważy ich słowia wygłasza na zakończenie taki oto, przeżabawny, spicz: — Proszę wysokiego Sądu! Oskarżona popełniła wielkie przestępstwo, ponieważ oprócz użycia obraźliwych słów, po mówiła także moją klientkę. Bo czy inaczej można traktować nazywanie mojej klientki „kocią wiarą”, o czym mówiło kilku świadków,

Po sali przechodzi szmer protestu, ale nie zbity z tropu mecenas ciągnie dalej: — Rządko zdarza się w sądownictwie rozsądzać sprawy dotyczące wiary, a ta właśnie tego dotyczy. Oskarżona nazwała moją klientkę jehowitką — znowu szmer niezadowolenia ludzi pamiętających własne zeznania — przez co pomówiła ją o przynależność do zakazanej wiary. Popełniła więc wielkie przewinienie, narażając oskarżycielkę na pośmiewisko ludzkie. Pan sędzia wnikliwie rozpatrywał zeznania świadków, może więc dokładnie ocenić wielkość przestępstwa. Bo przecież jakakolwiek wiara to sprawa osobista, nie wolno z niej żartować. Oskarżona popełniła wielkie przestępstwo, za co domagamy się surowego wyroku.

Nie sądzę, aby ktokolwiek z obecnych zrozumiał sens tej mowy obrończej. Ale rzecznika to najmniej obchodzi. Po wyartykułowaniu ostatniego słowa wstaje i pospiesznie wychodzi, jakby argumenty strony przeciwnej, wobec siły jego własnych, nie miały już żadnego znaczenia.

STEFANIA
HENCZELOWA

Zdradziś - ociemniejesz

Baldygowa otrzymuje niewiele czasu, bowiem do sali zaczynają napływać prawnicy i bohaterowie kolejnej rozprawy, która miała się rozpocząć półtorej godziny temu.

— Musiałam zgłosić proboszczowi — mówi — bo dzieci już nie wytrzymały nerwowo. Uratowałam swoje i sąsiedzkie. Zrobiłam to dla ich zdrowia, dla zdrowia duchowego młodzieży polskiej, która jest...

— Już dobrze, dobrze — przerywa dobrodusznie sędzia i przekłada ogłoszenie wyroku na dzień następny.

W przedziwnym wystąpieniu mecenasa padło zdanie, które jednak dawało Baldygowej nadzieję ucieczki przed surowym wyrokiem: sędzia rzeczywiście wnikliwie rozpatrywał zeznania świadków i dokładnie ocenił wielkość „przestępstwa”. Ono — podobnie zresztą jak „cud” u Szablaków — w ogóle nie zaistniało, zatem Baldygowa została uniewinniona.

Ale czy wraz z ogłoszeniem takiej decyzji ławy sędziowskiej zamknęła się dla mieszkańców Łysych sprawa ducha i skończyły rozjątrzone na jego tle, konflikty? Czy wieś odzyskała poprzedni spokój?

— Słyszałam — zeznała podczas procesu Leokadia Czyż — jak Szablakowa krzyczała jeszcze przed Palmową Niedzielą: „Dzieci Baldygowej zdradziły ducha i on pójdzie na pokutę, a powinna iść zdrajczyni. Błada temu, kto nie uwierzył, tak jak mój syn, który bez to zwariował”. Wszyscy we wiosce się bali. Ja też słyszałam ten Głos, choć niewiele zrozumiałam, bo słowa były bardzo niewyraźne. Najpierw pojawił się szum lasu, a potem coś o końcu świata. To był głos z magnetofonu, ale Szablakowa mówiła, że z nieba. Muszę przyznać, że na jakiś czas straciłam spokój, a moi synowie całkiem byli przestraszeni; bali się tych suchych rąk, jeśli coś zdradzili po przysiędze.

— Wielki strach po... na...

marczak — a najbardziej bali się ducha dzieci. Niektóre z nich nie wychodziły bez różańca z domu.

— Nie do końca jednak wyjaśniła się ta sprawa w duchem — oświadczyła Zofia Gregorczyk. — I proboszcz swoje powiedział, i milicja dom zrewidowała, ale kto nagrywał, tego my dokładnie nie wiemy.

Mecenas, przez głośne ustalenie faktu, że funkcjonariusze nikogo nie aresztowali, a jedynie porozmawiali z Szablakową i jej synem, starał się niejako uwiarygodnić prawdomówność swojej klientki. W efekcie tych dociekań miało się okazać (kto wie — gdyby był inny zespół orzekający...), że złośliwe przymówki dwóch kobiet narobiły większej szkody społecznej niż pojawienie się Głosu na taśmie oraz wszystkie tego zjawiska konsekwencje — i to tylko dlatego, że ten pierwszy incydent trafił na wokandę sądową.

Fot. GABOR LÖRINCZY

spiećcia



Ceny w łomżyńskich kwaciarniach są zawsze 1 gatunku — odpowiednio wysokie, pachnące, niedostępnością, świeże, okazale i rozwinięte; gorzej z jakością towaru. Ale agent sobie cenę skrobie.

★

Kiedy właściciel lokalu w Rudzie wymówił warunki dzierżawy pocztę, Urząd Miasta i Gminy w Grajewie umieścił ją w przedszkolu. Przedszkole przeniósł do lokalu jednej z najlepszych w Polsce bibliotek publicznych, a tę — do małej kłitki. W nowych siedzibach instytucji trzeba przeprowadzić remonty adaptacyjne, a można by tego uniknąć, gdyby pocztę umieszczono w wolnym lokalu i... nie opierano sprawy o bufet, który tam właśnie się mieści w czasie ludowych zabaw.

Na zapleczu sklepu ABC w Łomży znajduje się piwiarnia pienerowa. Każda dostawa tego napitku sprząda tam chmary piwoszy, którzy co pewien czas, po odcedzeniu przez organizm chmielu, czyli procentów, muszą wydalić pozostałą wodę. Słacy, którzy łączą obie czynności — pijąc wydalać jednocześnie. Chętni — ob. prezydent miasta, inspektorzy Sanepidu i kuratorzy — posłuchania tego, co o powyższym sposobie picia myślą pracujący (chwilowo na piwku) obywatele, proszeni są na małe jasne z pupkami.

Po czym mieszkańcy Drozdowa poznają, że w kranach wiejskiego wodociągu jest woda? Po wyciekach z przydrożnych zaworów. Jest to sposób pewny, a „Wodrol” (Przedsiębiorstwo Zaopatrzenia Rolnictwa w Wodę) zapewnia mu niezawodność nie reagując na zgłoszenia uszkodzeń. Jeden zawór cieknie od chwili założenia instalacji. Tylko kto płaci za tę wodę?

★

Cena cygańskiej kabały ustaliła się w Łomży ostatecznie na poziomie trzystu złotych. A zdawałoby się, że dzisiaj nie tak trudno przepowiedzieć, iż niejeden dupek żółedny to właśnie As.

Mleczarze mniej już narzekają na brak środków do mycia konwi po mleku. Nadal jednak część krów jest rekordowo brudna. A wystarczy w tym przypadku zwykła woda i skrobaczka do zeszlęgo łajna. No i jeszcze jedno — nawyk hodowców. A może oni nie mogą domyć bydlatek, bo tacy delikatni, tacy obrzydliwi.

Łomżyński przemysł mleczarski — jak wiadomo: deficytowy — ma kłopoty ze zwykłymi kapslami do butelek. „Sreberka” mienia się to granatem, to złotem, to zielenią, lub gubią się w drodze do sklepu. Jeśli ktoś nas zapewni, że mleko z paprochami jest zdrowsze, machniemy ręką na estetykę.



Szanowny Panie Stanisławie. Czy zastanawiał się Pan kiedykolwiek, gdzie w człowieku przechowują się wartości? Albo jak to jest, że w pewnej chwili coś, czego człowiek nie podejrzewa o nie staje się dla niego wiele warte? Na pierwsze pytanie idealista odpowiedział: w duszy, materialista zaś — w mózgu. I obaj nie będą mieli racji. Inaczej wygląda sprawa przy próbie odpowiedzi na drugie pytanie. Idealista nie powinien właściwie brać udziału w jakimkolwiek sporze, bo problem ma załatwiony od czasów Mojżesza (swoją drogą jestem ciekaw, czy wygasły już prawa autorskie twórcy Dekalogu, czy też może ZAiKS zbiera tantiemy i przekazuje spadkobiercom). Ponieważ jednak demon historii nie śpi, trochę wartości powstałych później nie weszło do zbioru pierwszych dziesięciu przykazań. Między innymi takie, z którymi od pewnego czasu ma ludzkość spore kłopoty, jak miłość do ojczyzny lub — przeciwnie — umiłowanie całej ludzkości.

Tu — nawet bardzo elastyczny — idealista musi uwzględnić element (wolałbym słowo „żywiol”, ale od pewnego czasu kojarzy mi się ono ze słowem „kłęska”) społeczny, a więc nie tylko jakąś przeliczalną gromadę osobników homo, ale także to, co dzieje się między tymi osobnikami, i to, co one wytwarzają. Tu materialista może mrugnąć do siebie porozumiewawczo — „dobra nasza”, ale nic więcej.

Jednym z pierwszych wytworów ludzkiej gromady jest język, mowa — najgłębiej w historię człowieka

LISTY ZZA RZĘKI

Galczyńskiego, Baczyńskiego; dolażyli jej też po swojemu: Ważyk, Gaworski, Mandalian, po co więc ja

spizarnia ideałów

zanurzona spizarnia wartości. Jesteśmy, Panie Stanisławie, dwoma dostawcami (z nieprzeliczonego zastępu) surowca do tej aksjokrytyki: Pan materializując idee „Kontaktów”, ja — wypełniając je treścią. Przyznaję: jestem zarozumiały, bo chcę nie tylko zapisywać, ale także produkować wartości. Nie wszystko bowiem zostało powiedziane, a nowo narodzonemu nie wypada się na skórze lub w mózgu spisu rzeczy godnych.

Wracam do wartości, które określiłem jako sprawujące kłopot idealistom (a okresowo i jego adwersarzowi) — patriotyzmu i internacjonalizmu. Należę do tych roczników, na które pobór w poetyce rekrutów przyszedł w roku 1956, a pierwsze awanse — na początku szóstej dziesiątki naszego wieku. Wówczas to przedmiotem i podmiotem mojego poezjowania była jednostka ludzka, czyli JA, a także TY — reszta ludzkości. Wspólnota była raczej podobieństwem egzystencji niż tożsamością esencji, czyli nacji. Ojczyzna dostała swoje od Broniewskiego,

miałem jeszcze pisać. Jeśli szukałem czegoś dla niej, to najwyżej między narodami, w nieco metafizycznie rozplywającym się „świecie”. Tu, na miejscu, Polska była zbyt oczywista, banalna, aby pisać o niej wiersze.

Tak glosiły pozory, bo naprawdę wyobrażenie ojczyzny było po prostu zbyt wielkie, złożone, odmienne od czegośkolwiek i inne od tego, jakiego doświadczali, niewiele starsi, poprzednicy. Jako zadanie artystyczne było ono dla mnie wówczas czymś podobnym do zamrożonej burzy majowej. Dlatego przez całe lata nie podejrzewałem siebie o wiersze, które można by nazwać patriotycznymi, a słowo Polska pojawia się dopiero w tomie „Biały blues” w roku 1972 i w wierszu drukowanym w prasie wiosną roku bieżącego. W czym innym muszą skrywać się cechy kierujące myśl czytającego ku wyobrażeniu własnego kraju, skoro już kilkanaście lat temu przytrafiła się mojemu wierszowi taka oto przygoda. „Wstażki” wydrukowałem w jakiejś literackiej e-

femerydyle o małym nakładzie. Wiersz jednak trafił do rąk reżysera przygotowującego spektakl teatralny z okazji („z okazji” brzmi dziś równie trywialnie, jak „akademia ku czci” albo „część artystyczna”) święta narodowego i znalazł się w jego programie. Kiedy mnie o tym zawiadomiono, nastroszyłem się (powody w poprzednim nawiasie) i wprosiłem na próbę, obawiając się różnych rzeczy, a najbardziej tzw. montażu tekstów. Tym razem jednak obawy były płonne, co więcej — aktor mówił wiersz z wyjątkiem, czyli dobrze, a siedzący przy fortepianie muzyk tak umiejętnie robił akompaniament, że poczułem coś w rodzaju zadowolenia, a może jeszcze czegoś gorszego. Reżyser przerwał jednak próbę uciszając pianistę. Aktor dokończył recytację w ciszy. Podszedł do mnie muzyk. — Proszę im wytłumaczyć — powiedział wskazując na aktora i reżysera — że ten refren w pańskim wierszu powstał do muzyki Szopenowskiej. — Nic podobnego — zaprotestowałem. — Jak to, niemożliwe, żeby było inaczej — wykrzyknął i, ciągnąc aktora na scenę, powiedział do niego: — Mów, jak chcesz, i tak będzie pasować, bo napisane jest po szopenowsku.

Miał rację. A ja wtedy pojąłem rzecz najbanalniejszą pod słońcem: że nie jestem poetą w ogóle, ale jestem polskim poetą. I nic więcej.

HENRYK GAŁA

ŻYCIE TOWARZYSKIE

starcało do pierwszego. Co innego Chopin; od razu widać, że to obywał światą całą gębą, jeden z

notowania



Rys. Marka Polańskiego

Czerwcową wypłatę dostałem częściowo w nowych banknotach. Nie powiem, by w kręgach zbliżonych do kasy przyjęto kolejne dokonanie Narodowego Banku całkiem obojętnie, choć — tak po prawdzie — nowe dwudziestki z męczennikiem sprawy naszej, Traugutem, wzbudziły zainteresowanie doświadczonej. I w rzeczy samej: ostatni dyktator Stycznia prezentuje się nieznacznie; szczupły jakiś, w okularach — nie wygląda raczej, by mu

czwórki czy piątki wielkich emigrantów.

W miarę przybliżania się kolejki do okienka rosła pożądlivość, ale — jak to w życiu bywa — jeden zagarnął zwitek papierków z podobizną pianisty, inny ledwie dwa upragnione egzemplarze, a trzeci musiał zadowolić się, jak co miesiąc, wizerunkiem Pierwszych Władców. I trudno tutaj winić pracowników Wytwórni Papierów, bo na pewno dokładali starania.

Toteż odesłani z kwitkami, jak również — nie ma co ukrywać — chwilowo całkiem bezrobotni, podawali sobie Wielkiego Pianistę z rąk do rąk, jak po sukcesie w jakiejś „Olimpii” paryskiej...

— Nareszcie zielone — wyrwało się znajomemu publicyście, który ostatnio zajmuje się problematyką międzynarodową. To znaczy: coś tam o nim mówią w zagranicznych rozgłoszeniach, on zaś ma z tego dużo chodzenia.

— Raczej wymienialne — sprostował rzeczowo, zaangażowany od niedawna na jego miejsce, pracownik działu inżynierskiego. Swoją drogą spory talent, zwłaszcza do trudniejszych operacji finansowych. — Bo spróbowałbyś pan wymienić na coś stówę...

Nasyciwszy oczy dostojnością artysty zabraliśmy się gromadnie do odcyfrowywania tekstu na odwrocie. Powstał zaraz spór, czy jest to mazurek, czy może raczej polonez, jakkolwiek bywały gieldy z góry wskazywały tę możliwość. Rozstrzygnięto po staropolsku — zakładem. Ostatecznie stanęło na mazurku, po czym przedmiot sporu powrócił do państwowej kiesy. Nawyk do stadnego życia raz jeszcze okazał się jednak trwalszy od wartości pieniądza, kontynuowaliśmy przeto mile zadzierzgnięte wątki.

— Zwyczajka notowań muzyki w NBP była właściwie do przewidzenia — ciągnął z filozoficzną zadumą jeden z biegłych, przywołanych uprzednio dla rozstrzygnięcia sporu. — Wiele oznak na to wskazywało, nie zawsze potrafimy jednak w porę połączyć oderwane, zdawałoby się, fakty... — biegły pogrzył się w kontemplacji. Zaczeliśmy tedy zachodzić w głowę, czy miał na myśli

odwieszenie stowarzyszenia artystów muzyków, kiedy inni ledwo zapiją, czy raczej bezprzykładną ekspansję eksportową, o której pełno w gazetach: Mazowsze podbiło Kanadę, Śląsk zaś zajął Paryż i jakiś jeszcze kraj.

O tournée natomiast delegacji nowożytności — półgębkiem jakby — wtrącił się zaprzyjaźniony kelner. Nie wzięliśmy mu tego za złe; w końcu po to są przewodniczący Krzyżagórski i sekretarz Fette, by zamartwiać się niedostatkiem publicity. W zgodzie ze staropolską zasadą: „Mam, to piję, nie mam, to chlam”, zamówiliśmy jeszcze po setce czystej.

— Nie daj Bóg pracować w słowie — westchnął, cokolwiek melancholijnie, międzynarodowy publicysta. Po czym położył od biegłego Kosińskiego, wychylił kieliszek i ulotnił się.

Mimo wszystko nie jest najgorzej — biegły już lekko błękitniał — Notowania bywają rozmaite, zależy, z kim przestajesz. Nie ma co sobie zbyt głowę zaprzętać husztawką koniunktur. — Przyjrzał się z natężeniem pracownikowi działu inżynierskiego, po czym zwrócił się na powrót do nas: — Przypomnę panom tylko, że przed rokiem czy dwoma mówiło się wcale głośno o wyniesieniu na ołtarze Traugutta i Witosa, oczywiście Wincentego, natomiast o Chopinie, Waryńskim i Koperniku chyba nie. Ja w każdym razie nie przypominam...

Uznaliśmy wobec tego skwapliwie, że niezależnie od tego, co tam komu w duszy gra, nie może być powrotu do sytuacji sprzed sierpnia ani też sprzed grudnia, po czym rozproszyliśmy się po mieście.

JAN KWASOWSKI

NA PIĘCIOLINII

pewność czy pozory?

Siadając do pisania tego felietonu, kiedy właściwie nie miałem jeszcze żadnego nań pomysłu, zupełnie przypadkowo puściłem kasety magnetofonową amerykańskiej grupy jazz-rockowej „Auracle” przed czterema laty słuchałem, i oglądałem ją na sopockim festiwalu „Pop-Session”, na który przyjechała tuż po wydaniu — utrwalonego właśnie w wspomnianej kasecie — long playa; młoda, ale już owiana legendą najprecyzyjniejszej formacji tego ty-

pu na świecie. Tę legendę stworzyły pisma muzyczne, prześcigające się w komplementach. Sami muzycy, genialni wręcz absolwenci amerykańskiej wyższej uczelni muzycznej, powiedzieli na konferencji prasowej, że zdają sobie sprawę z braków swojego warsztatu oraz niesamowitej wręcz konkurencji na tamtejszej giełdzie muzycznej. Grali wspaniale, imponowali niebywałymi strukturami rytmicznymi, ale od tamtej pory więcej o „Auracle” nie usłyszałem, chociaż dosyć pilnie śledzę wydarzenia w światowym jazzie i jazz-rocku.

Bodajże dwa lata temu przed kamerami naszej telewizji pojawił się gitarzysta Zbigniew Hołdys ze swoim zespołem „Perfect” i — po przedstawieniu kilku nieudaczkowych utworów big-beatowych — powiedział, iż ma najlepszą grupę w Polsce, jedną z najlepszych w Europie, i w zasadzie każdy zestaw muzyków, z którym przyjdzie mu współpracować, szybko potrafi osiągnąć sukces. Między miesiące i tymi sukcesami są

utwory „Nie płacz Ewka” oraz „Pepe wróć”, czyli, w pierwszym przypadku, piosenka śpiewana odchodzącą dziewczyną, zaś według Hołdysa — poświęcona pamięci zakatowanych narkotykami gwiazd rocka; druga to song tęskniącego za znikającym szybko z półek sklepowych winem owocowym najlichszego gatunku.

Słucham kasety genialnej „Auracle”, złożonej z wirtuozów instrumentów, a myślę o Hołdysie i jego szarpiutach. Nie wiem, co „Auracle” robi obecnie w USA, czy w ogóle jeszcze istnieje; zastanawiam się, za czyją przyczyną „Perfect” jest na świecie, o jego płytę długogrającą biją się nastolatki, na koncertach dochodzi do szpasmów i orgii. Czy to tylko sprawa tupetu, siły przebiecia i beczelnego wmawiania wszystkim, że jest się geniuszem?

Wielki szum wokół „Perfectu” robi pisemko „Non-Stop”, co każe mi przypuszczać, że nie należy w tym widzieć bezinteresownej miłości redaktorów do Hołdysa. Otóż w „Non-Stopie” prowadzona jest co roku

ankieta czytelników w kilku kategoriach. Ponieważ nie można zająrzeć do kuchni ankietowego interesu, nie da się z całą pewnością stwierdzić, ile tam jest szczerości, ile zaś samego interesu. Znajomość „organizowania” u nas tzw. list przebojów każe mi podchodzić do całej sprawy z dystansem. Otóż w tegorocznej ankiecie „Perfect” oraz skupieni wokół niego autorzy i wykonawcy zdecydowanie wygrali wszystkie kategorie za rok 1981. Nie omieszkaj tego faktu wykorzystać Hołdys i w wywiadzie stwierdził, że nie widzi w tym nic dziwnego; on go przewidywał wiele miesięcy wcześniej. Jeżeli jest to tylko wiara we własne możliwości — z pewnością nie jest ona podparta umiejętnościami.

Być może w tej chwili muzycy z „Auracle” zarabiają na chleb grając w zespołach studyjnych, towarzyszących trzeciorzędnym piosenkarzom. A może w jeszcze inny sposób?

JAN JANUSZEK



O DORECZANIU PRZESYLEK POCZTOWYCH

W obecnych warunkach wojennych, gdy sieć placówek pocztowo-telekomunikacyjnych i połączeń pocztowych jest niewystarczająca, a służba listonoszy wiejskich w zakresie przedwojennym nie może być zaprowadzona w najbliższym czasie, zachodzi konieczność doręczania korespondencji odbiorcom, zamieszkałym w miejscowościach bez placówki pocztowej, przez gminy i gromady. Organizacja tego sposobu doręczania opierać się winna na zasadach następujących:

1. Każda gmina jednowioskowa, względnie w gminach zbiorowych każda gromada, w której nie ma poczty (urzędu pocztowego, agencji pocztowej, pośrednictwa lub do której listonosz wiejski nie dochodzi), obowiązana jest w oznaczonych przez starostwo dniach wysłać do przynależnego urzędu pocztowego lub agencji pocztowej (woźnego, stróża, stójkę) po odbiór korespondencji dla danej gminy lub gromady. Dwie lub więcej sąsiadujących jednowioskowych gmin względnie gromad może się porozumieć co do wysyłania na pocztę wspólnego posłańca.

2. Gmina jednowioskowa względnie gromada wysyłająca posłańca zakupuje w odnośnej placówce pocztowej książkę odbiorczą, która stanowi dla posłańca legitymację uprawniającą do odbioru korespondencji oraz dowód, jakie przesłanki rejestrowane lub dokumenty na takie przesłanki posłaniec otrzymał.

3. Posłaniec odbiera z placówki pocztowej i doręcza korespondencję tym odbiorcom, którzy nie zastrzegli sobie osobistego odbioru korespondencji w odnośnej placówce pocztowej.

4. Za doręczenie korespondencji odbiorcom do domu posłańcy pobierają opłaty w wysokości ustalonej przez rady gminne, względnie zebrania gromadzkie.

(Okólnik Resortu Administracji Publicznej, „LDW” nr 3/1944)

W SPRAWIE FURMANEK SZARWARKOWYCH

W związku z wejściem w życie zarządzenia Ministra Aproprowiacji i Handlu z dnia 17 lutego br. w sprawie obowiązkowych dostaw jaj kurzych dla Państwa, proszę o spowodowanie, by soltysi poszczególnych gromad wyznaczili do przewożenia jaj ze zbiornic wiejskich do zbiornic powiatowych względnie rejonowych — furmanki szarwarkowe.

Furmanki szarwarkowe należy wyznaczać za opłatą w/g stawek ustalonych zarządzeniem moim z dnia 10 kwietnia 1945 r. [...] w sprawie ustalenia stawek wynagrodzenia za osobiste świadczenia robotników niewykwalifikowanych na rzecz Władz Rządowych i Samorządowych, t.j. 100 zł za furmankę jednokonną i 150 zł za furmankę parokonną przy 12-godzinny dniu pracy.

(Pismo okólnie wojewody lubelskiego, „LDW” nr 4/1945)

O MASOWEJ ORGANIZACJI ŻŁOBKÓW

Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej wspólnie ze Związkiem Samopomocy Chłopskiej przystępuje do masowej akcji organizacji sieci żłobków, przeznaczonych dla dzieci w wieku od 6 mies. do lat 4. [...] nadmieniam, że:

1. jeden żłobek ma być przeznaczony na 20—30 dzieci,

2. dzieci przebywać będą w żłobku 10 godzin dziennie w czasie pracy matki.

3. jeden żłobek winien przypadać na każde 12 tysięcy ludności miejskiej i 1 żłobek na każde 25 tysięcy ludności wiejskiej.

4. na terenie Województwa Lubelskiego winno być otwartych do dnia 1 lipca br. 110 żłobków.

(Pismo okólnie wojewody lubelskiego, „LDW” nr 5/1945)

21 lipca 1944 r. — na mocy dekretu Krajowej Rady Narodowej — w Chełmie powstał Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, tymczasowy organ władzy wykonawczej w Polsce, pierwszy w naszym kraju rewolucyjny rząd ludowo-demokratyczny.

Pierwsze zarządzenia, pisma okólnie, okólniki, rozporządzenia prezesa Rady Ministrów, instrukcje, ogłoszenia, obwieszczenia i komunikaty, regulujące życie społeczno-gospodarcze na wyzwolonych terenach (województwa: lubelskie, białostockie, rzeszowskie i część warszawskiego) ukazywały się w „Lubelskim Dzienniku Wojewódzkim”, który zaczął wychodzić we wrześniu 1944 r.

Prezentowane chronologiczne fragmenty tych dokumentów ilustrują ogrom i różnorodność prac, jakie młoda administracja państwowa musiała podjąć w pierwszych miesiącach organizacji i stabilizacji życia publicznego.

pro

O POWOŁANIU WIEJSKIEJ SŁUŻBY PORZĄDKOWEJ

Celem zaktywizowania uczciwej,

Lublin, 30 czerwca 1945 r.

LUBELSKI



DZIENNIK WOJEWODZKI

Nr 5.

TREŚĆ:

DZIAŁ URZĘDOWY:

A. Publikacje Wojewody Lubelskiego oraz władz i urzędów podległych

1. Zarządzenie Wojewody Lubelskiego z dnia 12 VI 1945 r. Nr Og. 291/45 w sprawie likwidacji Referatu Politycznego w Starostwach Województwa Lubelskiego
2. Rozporządzenie porządkowe Wojewody Lubelskiego z dnia 16 VI 1945 r. o ochronie lasów od pożarów
3. Pismo okólnie Wojewody Lubelskiego z dnia 21 VI 1945 r. Nr Og. 311/45 do Ob. Ob. Starostów Powiatowych i Grodzkich Województwa Lubelskiego dot. zakazu używania sprzętu rolniczego
4. Rozporządzenie Wojewody Lubelskiego z dnia 21 VI 1945 r. Nr Wet. 103/45 o zwolnieniu urzędników z urzędów Województwa Lubelskiego
5. Zarządzenie Wojewody Lubelskiego z dnia 21 VI 1945 r. Nr Og. 312/45 w sprawie likwidacji Referatu Politycznego w Starostwach Województwa Lubelskiego

publico bono

W SPRAWIE RADIOFONIZACJI KRAJU

Doceniając znaczenie radiofonizacji kraju i jej rolę w ogólnym dziele odbudowy życia kulturalnego odradzającego się Państwa Polskiego, Rada Ministrów uchwala z dnia 26 VI br. postanowić dokonać tego przez udostępnienie najszerzszym rzeszom obywateli możliwości korzystania z radia za pomocą pokrycia całego kraju siecią radiofonii przewodowej (jako zasada) i uchylenia zakazu korzystania z aparatów radiowych (lampowych i detektorowych).

Również P.R. przeznaczyło na województwo około 150 odbiorników radiowych, bateryjnych o mocy wyjściowej 0,8 Wata dla miejscowości nie zelektryfikowanych i 30 odbiorników sieciowych o mocy 4,5 Wata dla miejscowości zelektryfikowanych dla tak zwanego zbiorowego słuchania audycji. Wspomniane odbiorniki typu pierwszego mogą być obciążone 8 głośnikami, zaś drugiego 40 głośnikami rozproszonymi po domach. Odbiorniki te są przeznaczone do małych osad i większych wsi na terenie województwa. Obsługiwać je będą soltysi, nauczyciele lub inne osoby wskazane przez Rady Gminne. Jest to pierwszy etap radiofonizacji przewidziany w roku bieżącym.

(Pismo dyrektora Polskiego Radia w Lublinie, „LDW” nr 8/1945)

pragnącej konstruktywnej pracy większości ludności wiejskiej, w porozumieniu z Wojewódzką Radą Narodową, powołuję do życia we wszystkich gminach wiejskich województwa lubelskiego Wiejską Służbę Porządkową.

Kierownika gminnego, kierowników gromadzkich oraz członków wiejskiej służby porządkowej wyznacza Gminne Rady Narodowe w porozumieniu ze Stronnictwami Demokratycznymi i Związkami Samopomocy Chłopskiej w takiej liczbie, aby 1 członek W.S.P. przypadł na 10 do 15 domów. Przy organizowaniu Wiejskiej Służby Porządkowej należy przeprowadzić akcję wyjaśniającą zadania Służby. [...]

Do zadań Wiejskiej Służby Porządkowej należy:

1) Współdziałanie z organami samorządu gminnego przy zaznajomieniu ludności z zarządzeniami Rządu i władz administracyjnych.

2) Współpraca z wójtem i soltysiem przy kontroli ruchu ludności — sprawdzanie kto przebywa i wyjeżdża oraz czuwanie, by w danej miejscowości nie znajdowały się osoby niemeldowane (dezterterzy).

3) Wyznaczanie i kontrola wart nocnych.

4) Natychmiastowe informowanie organów bezpieczeństwa (Milicji Obywatelskiej) o pojawieniu się jakiegokolwiek bandy z wskazaniem kierunku przybycia i odmarszu, składu osobowego, uzbrojenia itd.

5) Współdziałanie z organami bezpieczeństwa i władzami skarbowymi w walce z nielegalnym gorzelnictwem.

6) Czuwanie nad stanem sanitarnym wsi.

Wójt gminy i kierownik Wiejskiej Służby Porządkowej mają obowiązek kontrolowania, aby członkowie W.S.P. wypełniali należycie swoją powinność. Pomocnikiem wójta w tym zakresie jest soltys każdej gromady.

(Rozporządzenie wojewody lubelskiego, „LDW” nr 9/1945)

O DOKSZTAŁCANIU PRACOWNIKÓW

Istniejąca w Łodzi od maja br. Akademia Służby Publicznej (Akademia Administracyjna) w chwili obecnej przystępuje do rozszerzenia swej działalności. Wykłady Akademii Służby Publicznej dają doskonałą sposobność urzędnikom, pozostającym w służbie, do uzupełniania swej wiedzy teoretycznej, której dotychczas nie mieli sposobności uzyskać. Akademia Służby Publicznej w swoim programie uwzględniła przede wszystkim przedmioty z dziedziny wiedzy o administracji publicznej, a także wiedzę specjalną o ziemiach odzyskanych. [...]

Akademia Służby Publicznej, pragnąc uprzystępnienie nauczania jak najszerzszym rzeszom urzędniczym, niezależnie od stałych wykładów w Łodzi organizuje naukę korespon-

11
KONTAKTY
25 VII 1982

dokumenty



Przygotował WIKTOR SZUKIEL
Reprod. GABOR LÖRINCZY

O d kilku dni ma już 17 lat. Waży niewiele ponad 40 kilogramów. Jest filigranowa, niepozorna, ale jak pojawi się na estradzie... Mariola Wałkuska swym występem na tegorocznym Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze zrobiła wrażenie nie tylko na setkach zgromadzonych widzów, ale także na zespole surowych i niewzruszonych jurorów, którzy przyznali jej Brązowy Samowar.

— Więc jesteś gwiazdą?

MARIOLA: — Wcale nie. Jestem, jak poprzednio, zwykłą dziewczyną i uczennicą mojej fajnej babskiej klasy w łomżyńskim liceum. Koleżanki w szkole na mój powrót z Festiwalu przygotowały kwiaty i tort z napisem „Myszka”, bo w klasie na mnie mówią po prostu „Myszka”. Musiałam im w szczegółach opowiedzieć o przebiegu całej imprezy. Tylko dorośli usiłują ze mnie zrobić gwiazdę. Jak tylko przyjechałam z Zielonej Góry, od razu się zaczęło: najpierw było spotkanie w KW z sekretarzem i wojewodą, później nagranie w Białostockiej Rozgłośni Polskiego Radia. No i to rozprowadzanie mnie na ulicy przez wiele osób... A ostatnio nawet na dyskotekę chcieli mnie wpuścić bez biletu. Z początku trochę mnie to wszystko bawiło, ale teraz denerwuję. Chcę być normalnym człowiekiem, a nie ciągle wyróżnianym, dlatego za bilet na dyskotekę zapłaciłam tak samo, jak inni. Bawiłam się dobrze. Zresztą bardzo lubię tańczyć, dużo się śmiać, i to często bez powodu, no i śpiewać.

— Kiedy wypiewałaś swoje pierwsze nutki?

MARIOLA: — Dość wcześnie. Wynikło to z naszych rodzinnych zainteresowań: ojciec grał na akordeonie, dwaj bracia grają na gitarze, a z tego co słyszę w domu, mama też ma dobry głos i słuch. Ja zaczęłam śpiewać w przedszkolu; był to czas „Wozów kolorowych” Maryli Rodowicz. Zawsze zbierałyśmy się z dziewczynkami na ławce w szatni i każda po kolei popiskiwała jakąś piosenkę. Ale śpiewałam nie tylko w szatni, bo również na wszystkich przedszkolnych uroczystościach, a później, jak się tylko okazało, że po trafię, na szkolnych akademiach. W drugiej klasie pierwszy raz wystąpiłam w Konkursie Piosenki Radzieckiej. Byłam wtedy ubrana w białą sukienkę „od przyjęcia” i tkliwie śpiewałam rosyjską piosenkę o białej brzoście; teraz już nie pamiętam nawet tytułu. W trzy lata później, na wojewódzkich eliminacjach Konkursu w Grajewie, zajęłam pierwsze miejsce, a na okręgowych

po prostu „myszka”



w Białymstoku — drugie, ale nie pojechałam jeszcze wtedy do Zielonej Góry. Brakowało mi trochę lat, miałam ich dopiero 12. W następnym roku znowu zajęłam pierwsze miejsce na wojewódzkich eliminacjach Konkursu Piosenki Radzieckiej, a potem, przez dłuższy czas, nie brałam już w nim udziału.

— Czyżby, w wyniku rozezarów, zrodziła się w Tobie nagła niechęć do śpiewu?

MARIOLA: — Nie, wcale nie, bo dalej sobie podśpiewywałam i muzykowałam. Razem z braćmi założyliśmy własny zespół. Pojechalismy na Przegląd Zespołów Amatorskich do Olsztyna i tam zdobyliśmy wyróżnienie. Było bardzo śmiesznie, bo kiedy ogłaszali wyniki konkursu, pytali nas o opiekuna, a że myśmy go nie mieli, wywołaliśmy z widowni mamę. Później zespół wyszedł poza rodzinę, liczył już 5 osób i nazywał się „Excess”. Nie mieliśmy

gdzie się spotykać i ćwiczyć, zwykle graliśmy w domu. W ubiegłym roku, na przeglądzie w Łomży, znowu zostaliśmy wyróżnieni, było to już nasze prawie ostatnie wspólne śpiewanie. Zespół się padł, bo perkusista poszedł na studia.

— Wówczas przypomniałaś sobie „ląd brzoze”?

MARIOLA: — Chyba tak. O konkursie dowiedziałam się od mojej profesorki języka rosyjskiego dzień przed eliminacjami. To była straszna galopada. Musiałam dobrać natychmiastowego wyborcę, stworzyć i sama je przygotować. Cydowałam się na dwie piosenki. Pugiaczowej: „Królowie wszyscy mogą” i „Piosenka o mnie”. Tej drugiej nauczyłam się z płyty, ale słysząc pierwszą, niestety nie mogłam zdobyć. Tuż przed eliminacjami poratowała mnie koleżanka, która korespondowała z Związku Radzieckiego. Melodię znałam wcześniej, w rejonowych eliminacjach czułam się dość pewnie. Zajęłam na nie pierwsze miejsce, to samo na wojewódzkich, a na centralnych, w Warszawie, zakwalifikowałam się do finału Konkursu. Miałam wyjątkowo pecha, bo już w Zielonej Górze, na cztery dni przed eliminacjami, zmieniono mi jedną piosenkę. Dostałam utwór, którego wcale nie znałam: „Lato w Moskwie”, i musiałam go prawie od razu śpiewać na przesłuchaniu. Bardzo się bałam, że zapomnę słowa, trzęsły mi się nogi, ale wszystko jakoś dobrze wyszło.

— Zatem kiedy wreszcie dorastałaś, raz pojechałaś po samowar.

MARIOLA: — Nie byłam takimi pewniakiem, ale mój chłopiec, Dariusz, przepowiedział mi ten „brąz”. Zresztą on był moim pierwszym nauczycielem. Jeszcze rok temu, kiedy go nie znałam, byłam słabą technicznie. On nauczył mnie dokładnego wymawiania końcówek oddychania przeponą, zwracał uwagę na to, żeby „iść za tekstem”, czyli starać się go rozumieć. Bardzo mi pomagał w każdych eliminacjach, bo zawsze we mnie wierzył. Sam dobrze gra na gitarze, więc nasze spotkania są bardzo muzyczne. Często gawędzimy na ten temat, nagrywamy wykonania swoich utworów, a potem rozważamy, jakie popełniliśmy błędy. Ostatnio ciągle marzyłam się takie miejsce w Łomży, w którym młodzież mogłaby się spotykać i wspólnie debatować, muzykować, śpiewać.

Rozmawiała MARIA TOCKA
Fot. GABOR LÖRINCZY

szlachcic na „bawełnie”

W czołoci polskiej historiografii stosunkowo mało wycinek stanowią monografie miast, jeszcze mniejszy — dzieje małych miasteczek. Złożyły się na ten stan rzeczy głównie potężne braki w zachowanych materiałach źródłowych, z którymi szczególnie ostatnia wojna obeszła się wyjątkowo okrutnie. Mało, poza dużymi ośrodkami miejskimi, było pod tym względem szczególnie upośledzone. Tym bardziej więc cieszy fakt, że po wydaniu przed kilku laty I części monografii Łomży (na drugą część z niecierpliwością chyba już zbyt długo czekamy), dwutomowej monografii Grajewa — województwo nasze doczekało się w ostatnim czasie dwóch kolejnych: Zambrowa i Kolna.

Nieżyjący już wieloletni pedagog, doktor nauk humanistycznych, Józef Stanisław Mroczek, przez długie lata związany z Zambrowem, włożył wiele rzetelnej pracy i serca w opracowanie monografii tego miasta, która — zatytułowana „Zambrow, zarys dziejów” — ukazała się w początku bieżącego roku, wydana przez Ośrodek Badań Naukowych w Białymstoku i Łomżyńskie Towarzystwo Naukowe im. Wagów, a współfinansowana przez Urząd Miasta i Gminy Zambrowa.

Książka ma wyjątkowo przejrzysty i konsekwentnie realizowany plan, jest zwarta, dostatecznie zilu-

strowana zestawieniami i tablicami, dzięki czemu materiał w niej zawarty może być przyswajany nie tylko przez profesjonalistów-historyków.

Miłość do miasta nie jest tu jednak miłością ślepą, idealizującą obiót uczuć. Zambrow, porównywany z innymi ośrodkami dzisiejszego województwa łomżyńskiego, jest w niej taki, jakim był — małym miasteczkiem obsługującym najbliższą, głównie drobnoszlachecką, okolicę, a później żyjącym z garnizonu wojskowego. To, co było lepszego czy innego, znajduje właściwe proporcje w opisach, ale też i rzeczy mniej budujące nie zostały w nich pominięte.

Blisko trzecia część książki poświęcona jest sprawom dalekiej przeszłości — od genezy powstania grodu po kres szlacheckiej Rzeczypospolitej; omawia rozplanowanie przestrzenne miasta i zachodzące w nim zmiany, stosunki demograficzne, gospodarcze, polityczne itp. Przedłużeniem tej części jest okres rządów pruskich (1795—1807), Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego z powstaniami narodowymi włącznie.

Nasz wiek XX, bez strat dla całości wiedzy o Zambrowie, obejmuje pozostałe 2/3 objętości książki. Omawiając przemiany społeczne i demograficzne oraz gospodarkę, wypadki rewolucji 1905 roku i okres wojny światowej, autor zapoznaje czytelnika również z początkami działalności partii politycznych. Pre-

zentację walk politycznych, charakterystycznych dla tego terenu, znajdujemy w rozdziale omawiającym okres międzywojenny. Prosto i bez patosu podaje autor wydarzenia z lat ostatniej wojny i okupacji, które przecież są jeszcze bliskie znacznej części naszego społeczeństwa.

Książkę kończy omówienie dziejów miasta w Polsce Ludowej, konkretnie — do roku 1975; nieśmiało tylko sięga autor w początki kolejnej zmiany administracyjnej, stąd większość porównań z omawianego okresu odnosi się do tła całego „starego” województwa białostockiego. W tym interesującym i słuszenie rozbudowanym rozdziale na uwagę zasługuje opis trudnych warunków tworzenia się władzy ludowej na tym terenie, przejęcia przez Zambrow roli sąsiedniej Łomży, leżącej wówczas na linii frontu, a także specyfiki terenu tak obfitującego w podziemne ugrupowania antyludowe.

Najbardziej zafascynowało mnie szerokie potraktowanie okresu najnowszych dziejów Zambrowa, a głównie budowy zakładów bawełnianych oraz wpływu tych zakładów na ospalę i — wydawałoby się — skazane na vegetację miasteczko. Przez wiele lat związane i w jakiś sposób żyjące z garnizonu wojskowego — musiało się przekonać, że lepszy profit przynosi przemysł. Dodać tu trzeba, że nie miał on tu żadnych tradycji ani fachowej kadry. Wydaje się, że właśnie takie „beznamienne” wykazanie trudności zgola dramatyz-

ycznych i stopniowego, ale systematycznego, rozwoju miasta, dzięki tej jednej dużej inwestycji, zasługuje na szczególną uwagę. Mamy tu bowiem piękny przykład, jak na oczach jednego pokolenia „zasiedziały”, niewielki gród, a także jego drobnoszlachecka okolica, ulegają stałej, systematycznej przemianie nie tylko w sferze materialnej, ale również obyczajowej i duchowej.

Przy całej dyscyplinie i powściągliwości, jaką założył sobie autor, nie brak w tej książce tzw. ciekawostek. Są nimi między innymi choćby spory między mieszczanami Zambrowa i Łomży, która — choć bez murów obronnych — rościła sobie przywileje miast obwarowanych, a także porównania wielkości Łomży, Zambrowa, Jedwabnego, Wysokiego Mazowieckiego, Wizny, Sniadowa i Stawisk przed wiekami, które dają okazję do podumania nad zmiennymi losami takich ośrodków.

Jest to więc książka z dużym ładunkiem rzetelnej wiedzy o mieście i najbliższym mu regionie, a sposób podania tej wiedzy jest tak przystępny (może to wpływ zawodu pedagoga), że znajdzie ona na pewno wielu wdzięcznych czytelników.

MACIEJ BRUDZEWSKI

Józef Stanisław Mroczek: „Zambrow, zarys dziejów”, Białystok 1982, str. 193, zł. 180.



makrama

Węzła o nazwie „opaska” (inne prezentowały w poprzednich numerach) najczęściej używamy przy zakończeniu makramy: do wiązania frędzli, pędzli, kutasików. Na ten cel należy przeznaczyć dodatkowy sznurek, zakończony na jednym końcu węzłem (nad ręką), by odróżnić go od pozostałych sznurków, na który chcemy założyć opaskę, oraz koniec sznurka przeznaczonego do wiązania. Z reszty sznurka układamy pętlę przylegającą do pozostałych sznurków i wraz z innymi owijamy ciasno pętlę od dołu do góry, naokoło. Końcówkę sznurka przeciągamy przez pętlę wystającą u góry. Aby

została ona mocno zaciągnięta i znalazła się w połowie opaski, należy pociągnąć końcówkę sznurka,

na którym jest węzeł nad ręką. Końcówki pozostałe z opaski obcinamy krótko.

maż idealny

Nie lada warunkom musiał sprostać kandydat na dobrego męża. Oto co pisał na ten temat w 1923 r. „Przewodnik kółek i stowarzyszeń rolniczych”.

Pięć warunków musi mieć kawaler, żeby z niego był dobry mąż: ani jednego mniej. Szukaj takiego, a będziesz szczęśliwa. Musi być: zdrowy, uczciwy, pracowity, pobożny, mądry. Nie piszę nic o bogactwie, bogactwo to rzecz do nabycia, a jak mężczyzna ma te wszystkie zalety, o których piszę powyżej, to i dobrobyt zdobędzie.

Zdrowy musi być twój mąż. Jeżeli ma jaką zaraźliwą chorobę, suchoty, czy padaczkę, czy raka, czy inną jaką, której się mógł w wojsku nabawić, nie patrz nawet na niego, w rodzinie chorej więcej jest niż radości, więcej trumien niż szczęścia. Chory człowiek nie ma prawa się żenić.

Uczciwy musi być twój mąż. Za

osusta, szachraja, kłamcę nie wychodzi, bo choć ci teraz słodkie słówka mówi, oszuka i ciebie. Pomysł tylko, jakaby twoja dola była, gdybyś ciągle tylko w strachu żyła, czy też ten twój mąż kogo nie okpi, co to wstydu mogłabyś zaznać za niego, a jakiby to był przykład dla dzieci, o nie! Uczciwy musi być twój mąż.

I pracowity też. Praca to boskie przykazanie pierwszym rodzicom nakazane. Największe majątki pójda na marne, jeżeli próżniak, walek ma je w ręku, a pracowity człowiek i z małego się dorobi. Na leniucha ty byś pracować musiała, a że i bez tego będziesz miała co robić w małżeństwie, więc szukaj chłopca pracowitego, niech swoją część obowiązków w rodzinie spełni sumiennie.

Pobożny mąż to nie znaczy, żeby ciągle siedział w kościele. Pobożny to taki, co żyje po Bożemu, szanuje

rodziców, spełnia obowiązki religijne, choć raz na rok jest u spowiedzi, co wesprze biednego, poratuje skrzywdzonego, co ma serce czule na ludzką niedolę, uszanuje starość, uśmiechnie się do dziecka, nikogo nie skrzywdzi, nie upije się, unika kłótni i złego towarzystwa, jednym słowem — zacytujmy jest katolikiem.

Mąż twój, dziewczeczko, musi być też i mądry. Nie znaczy to, żeby koniecznie szkoły ukończył, ale musi mieć zdrowy sąd o każdej rzeczy, rozumne rozeznanie, co złe, a co dobre. Musi we własnym rozumie znaleźć obronę przed namową do złego, przed temi warchołami, gadaczami, których pełno kręci się między ludem i bałamucą każdego, kto się tylko da. Zdrowy rozum wskaże mu drogę, do kogo udać się po radę w jakiejś sprawie ważniejszej, w sprawie wyborów do rady gminnej czy do sejmu, zdrowy rozum wskaże mu, jaką gazetę czytać, jak rządzić się swymi interesami, a ty będziesz się czuła bezpieczną i spokojną przy boku rozumnego męża”.

(Z archiwum prasowego W. Szukiela)

BYŁ SOBIE CZŁOWIEK

perłowy tłuszcz

Margaryna, którą tak powszechnie dzisiaj stosujemy w żywieniu, ma już ponad stoletnią historię. Za czasów Napoleona III ogłoszono konkurs na wynalezienie tłuszczu, który by zastąpił masło. Miał to być tłuszcz dostępny dla kieszeni biedoty miejskiej. Zdobywcą nagrody i patentu wynalazczego został Hipolit Mège-Mouriés. Nazwał swój produkt „Perla”, („Margarita” po łacinie „perła”). Uruchomiona przez niego fabryczka perłowego tłuszczu przyniosła właścicielowi ogromną fortunę. Pierwsze kostki margaryny odznaczały się właśnie perłową barwą, ale już wkrótce, na podobieństwo masła, zaczęto je barwić na żółto przy pomocy roślinnych ingrediencji. Ówczesną margarynę wyrabiano z łoju wołowego, soli kuchennej, potażu, zmieszanych żółtek i wymion krowich. Te ostatnie miały się przyczyniać do zamiany tłuszczu wołowego w sztuczne masło. Ale później te dodatki wyrzucano, gdyż nie budziły zaufania wśród odbiorców.

Jak produkowano margarynę? Najlepszego gatunku łoju, po rozdrobnieniu między dwoma użębionymi wałkami, stapiano, a później wlewano do wielkich płaskich naczyń. W temperaturze 25 stopni masa tężała całą dobę. Poddawano ją prasowaniu, które usuwało zawarty w niej płyn. Następnie dodawano chude mleko i wodę i ubijano na emulsję, którą przetranszowano na tłuszcz mniej więcej tak, jak śmietanę. Uzyskany produkt był tani, ale mało trwały i miękki. Mimo pewnego uprzedzenia — Francuzi rozwijali produkcję margaryny ze względu na trudności aprowizacyjne i wzrastające ceny.

wstążeczki na weselnym samochodzie

Skąd się wziął zwyczaj strojenia wstążkami samochodu, którym jedzie młoda para? W dawnych czasach konne wozy, wiozące młodych do ślubu, strojono czerwonymi wstążkami i majono gałęziami po to, by odpędzić urok; żeby złe oko nie padło na nowożeńców, lecz zatrzymało się na deko-

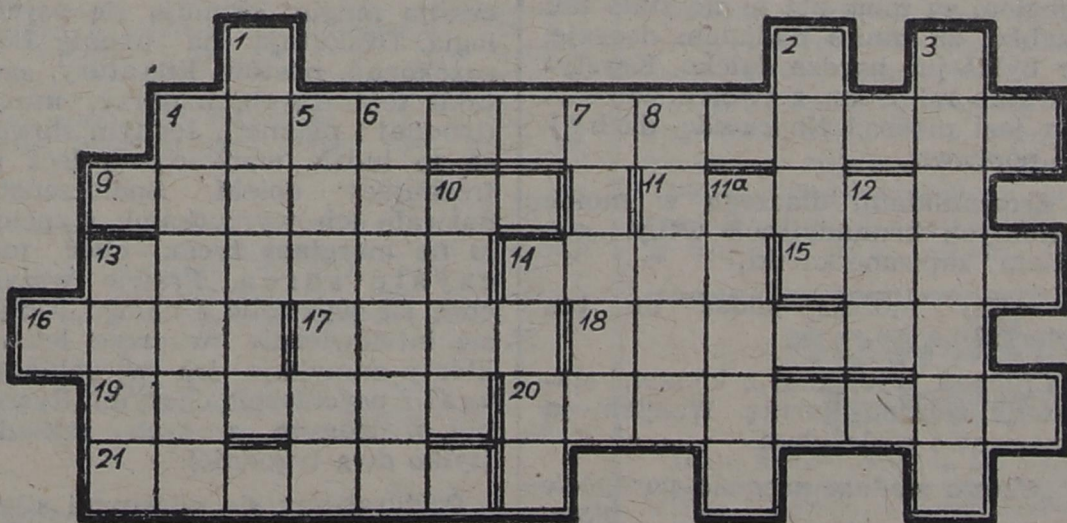
racjach. Był to znany zwyczaj w Niemczech, Francji, Włoszech, a także w Argentynie. I do dziś nie wyszedł z obiegu. Lalkę, którą czasami nasi młodożeńcy wiozą na masce samochodu, przypięcia się, na przykład, w Argentynie z tyłu, złośliwie, parze, która oczekuje potomka.



pani doktor cebula

Łykając bez opamiętania różne bi-septole i -mycyny, zapomnieliśmy o tym, że najskuteczniejszymi antybiotykami są warzywa cebulowe. Gdy spożywamy je na surowo i podczas pierwszego posiłku, stają się wówczas najskuteczniejszą bronią przed grypą i przeziębieniem. Sok z cebuli znakomicie leczy anginę. Cebulowe warzywa, oprócz ważnych dla zdrowia witamin, zawierają także substancje bakteriobójcze. Wiele lekarstw oparto na wyciągu z cebuli. Są to przeważnie mikstury stosowane przy niezbyt trudnych oddechowych, kłuszkach, schorzeniach przewodu pokarmowego, a także przy wzdęciach i biegunkach. Leczą również trudno gojące się rany, owrzodzenia. Badania naukowe wykazały, że działają hamująco na rozwój raka, szczególnie czosnek, który nie pozwala rozwijać się ani drobnemu, ani złośliwemu guzom. Wiadomo powszechnie, że cebula zapobiega arteriosklerozie i odkładaniu się cholesterolu we k-

krzyżówka



POZIOMO: 4) leśna krzewinka, 9) gleba piaszczysta z domieszką gliny, 11) zasłużona artystycznie roślina, 13) biega z gracją, 14) długa do siedzenia, 15) można go wypinać, 16) część brutto, 17) niejednej Hindusce serce zadraskało, 18) ponoć ma cudowny świat, 19) taniec raczej wolny, 20) tam pończochy, 21) zaliczka.

PIONOWO: 1) na zupe, 2) psia grzatka, 3) ...urodzin, ślubu, śmierci,

4) nieźle kica, 5) atrybut górala, 6) gorliwiec, 7) ewolucja narciarska, 8) śmigłowiec to potrafi, 10) lokum szyby, 11a) do dmuchania, 12) kapitan arki, 13) z rozdzieloną buzią, 14) miasto nad Grabią.

„EL-TA”

Wśród Czytelników, którzy w terminie 10-dniowym nadesłali pod adresem redakcji prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy nagrody książkowe.

kalafior na zimę

Na konserwę należy wybrać kalafior jak najpiękniejszy, ścisły, biały. Obieramy go z liści, przycinamy głąb i — po starannym wypłukaniu — blanszujemy w następujący sposób. Do gotującej się wody sypiemy trochę soli (łyżeczka na 3 litry) i łyżeczkę octu, wkładamy kalafior. Gdy woda zakipi, studzimy je w zimnej, po czym przekładamy do słoików i zalewamy płynem z 3 l wody, 25 g soli i 1 g kwasu cytrynowego. Zamykamy słoje i pasteryzujemy przez godzinę. Po dwóch dniach zabieg ten powtarzamy.

O wiele smaczniejsze będą kalafior suszone: główkę starannie rozbieramy na pojedyncze różyczki, gotujemy w wodzie z solą 3—4 minuty, osączamy i układamy na drewnianych, zasłanych słomą, rusztach lub sitach. Suszymy w temperaturze poniżej 50 stopni. Przechowujemy w woreczkach, w przewiewnym miejscu. Przed gotowaniem musimy je namoczyć. (ij)

13

KONTAKTY
25 VII 1982

Stragam pod trzynastką





Ludzie, ich twarze — zmieniające się co sekundę maski: jedna dla zwierznika, jedna dla przyjaciela, inna dla żony, jeszcze inna — dla proszącego, potrzebującego... Mam 14 lat; obecnie chodzę do Liceum Ogólnokształcącego. Może bym nie zapisała tych kilku-kartek, gdyby nie bunt wobec pustych, głupich ludzi. Jestem zamknięta w sobie dziewczyna, rzadko pytam o drogę. Wolę sama podejmować decyzje, gdyż to mnie choć trochę usamodzielnia. Poza tym przecież każdy człowiek powinien uczyć się na swoich błędach. Często jestem powodem ironicznych uśmiechów. Przyczyną tego jest fakt, że piszę wiersze.

Zaproszono mnie raz na prywatkę. Poszłam; myślałam, że — być może — coś się zmieni. Powitano mnie w progu ze sztuczną serdecznością. Weszłam. Było kilka osób. Grała zbyt głośna muzyka. Butelki napoczętej wódki i wina stały na stole obok popielniczek, wypełnionych petami. W pokoju było szaro od dymu papierosowego. Jakaś dziewczyna wymiotowała. Chłopiec o kręconych, czarnych włosach całował na wpół rozebraną partnerkę. Ktoś inny wmuszał wódkę opierającej się otyłej blondynce. Gospodyni tej „prywatki” wrzasnęła: — Wiara,

rajszego dnia nie spostrzegłam, że obok mnie, na sąsiedniej huśtawce, usiadł chłopak.

— Cześć, Małgorzata — powiedział.

Spojrzałam na niego ze zdziwieniem. Skąd znał moje imię? Zauważyłam, że jego włosy dawno nie widziały nożyczek, a spodnie, które miał na sobie, były polatane w kilku miejscach. Nie wyprasowana koszula sięgała prawie kolan. Miał szeroką kurtkę koloru ciemnozielonego, a na ramieniu — torbę ozdobioną wisiorami.

— Wiem, że mnie nie znasz — przerwał moje obserwacje. — Postaram się wszystko ci wytłumaczyć.

— Tłumacz — powiedziałam z uśmiechem.

**podajmy
im
rękę**



spójrzcie! — zebrani oderwali się od swojej „pracy”. — Przedstawiam wam przyszłą Szymborską.

Wszyscy parsknęli śmiechem.

— Nienawidzę was — powiedziała zdławionym głosem, szybko podderwałam się z miejsca i podbiegłam do drzwi. Dobrze zbudowany chłopak oparł dłoń po obu stronach przejścia, odcinając mi drogę odwrotu. Próbowalam przedostać się na drugą stronę. Chłopak złapał mnie za włosy; zamarałam w bolesnym uścisku. Wyrwałam się. Czulałam, że pukiel moich włosów pozostał w jego zaciśniętej ręce. Wybiegając na korytarz usłyszałam jeszcze: — Głupia gaska!

Weszłam do domu; było późno, rodzice i brat już spali. Usiadłam. W mojej głowie zaczęły się kłębić mieszane uczucia: obrzydzenie, strach, nienawiść i litość zarazem. Litość! Bo przecież ci ludzie są godni polittowania. Mają do niczego nie służące ręce — jedynie do trzymania kieliszka; do niczego nie służące oczy — jedynie do oglądania zbiorowego seksu, porno w naturze, aktów przemocy i brutalności; wreszcie mózgi — otepiałe, stare maszyny, kupki złomu w młodych głowach...

Przedpołudnie następnego dnia było słoneczne. Pokierowałam swoje kroki w stronę parku. Będąc jeszcze pod wrażeniem wczor-

— Wiesz, byłem świadkiem tego, co się zdarzyło na prywatce. Wybiegłem za tobą, ale to się stało tak szybko, że zanim podjąłem decyzję, ty byłaś już bardzo daleko. Krystyna dała mi jeden z twoich wierszy. On jest piękny! Naprawdę dobry — poprawił.

Zrozumiałam, dlaczego w moich szkolnych brudnopisach wciąż „gubiłam” zapisane kartki.

— Czy możesz oddać mi ten wiersz?

Chłopak wyciągnął z kieszeni starannie złożoną kartkę. Wzięłam ją i nerwowo rozłożyłam.

„Często siadam nocą na parapecie okna,

jak na krawędzi przepaści
głębokiej niżym bezkres
ciemności.

Myślę wtedy, co by było
gdybym spadła w nią
pochlaniając całym sercem
śmierć,

wizerunek nicości.
Patrząc tak w ciemność,
niczym w życia mego odbicie,
zastanawiam się, jakie ono jest,
czy mi go wystarczy choćby na tę
odpowiedź.

A jeżeli błądząc po drogach
znajdę tylko zdziwione i nieme
twarze ludzi?”

— Jak ci na imię?

— Ryszard — powiedział i wziął moją rękę w swoje dłonie. — Małgosiu, teraz muszę koniecznie już iść, mam do załatwienia ważną sprawę. Przyjdź do mnie jutro o 17.00, bardzo cię o to proszę — powiedział spoglądając mi błagalnie w oczy. — Tu masz adres — podał mi małą kartkę. Zanim zorientowałam się, o co chodzi, on już znikł mi z oczu. Na jednej stronie był adres, a na drugiej te słowa:

„Przepraszam, że żyję;
przepraszam, że istnieję;
przepraszam, że jestem,
i kocham, kocham”.

Czytałam je wiele razy w ciągu dnia i miałam pustkę w głowie. Co mogły oznaczać te pełne pesymizmu i samokrytyki słowa? Poczulałam silną potrzebę rozmowy z tym dziwnym człowiekiem.

Na drzwiach widniała wizytówka o kolorze starego złota. Nacisnęłam niepewnie dzwonek, usłyszałam głuche kroki. Drzwi otworzyły się.

— Cześć! Myślałem, że nie przyjdiesz.

— To źle myślałeś.

— Rozbierz się. — Ryszard pomógł mi zdjąć płaszcz. Weszłam do pokoju.

— Usiądź. Napijesz się czegoś?

— Herbaty.

Gdy wyszedł, myślałam wciąż, jak zacząć rozmowę o tej dziwnej kartce. Wrócił z dwiema szklankami herbaty i postawił je na stoliku.

— Słuchaj, co mają znaczyć te słowa, które napisałeś na kartce z adresem?

— Nie nie mów i proszę, nie patrz mi w oczy. Widzisz, może to zabrzmiało banalnie i nierealnie, ale ja zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia. Nie powinno tak się stać, gdyż ja nie jestem wart nawet jednej części twojej duszy. Nie wiem, co zrobić, żeby zapomnieć o tobie. Powoli dochodzę do wniosku, że jest to niemożliwe... Pytasz o tę kartkę. Gdybyś mogła mnie choć trochę polubić... widzisz, ja jestem narkomanem, a moi bracia są hipisami. Teraz pewnie trzaśniesz drzwiami i wyjdiesz.

Zapanowała cisza. Z jego oczu zaczęły spływać duże, lśniące łzy. Choć usta układały się wciąż w ten sam uśmiech, twarz była szara i skrzywiona wewnętrznym bólem.

— Małgosiu, pomóż mi, proszę.

Siedzieliśmy dłuższą chwilę. Ręce Ryszarda w mocnym uścisku obejmowały moje ramiona. Łzy, które wciąż spływały z jego oczu, przemoczyły moją bluzkę. Postanowiłam, że mu pomogę. Pomogę, ale jak?

Za pośrednictwem Ryszarda poznałam wielu ludzi, którzy zbłądzili. Ale nie ma wśród nich nikogo, kto by nie pisał wierszy, malował, tkął gobelinów, pisał piosenek albo nie grał na jakimś instrumencie. Każdy z nich coś robi. Czytają książki, po które ja nigdy nie sięgałam, gdyż były dla mnie czarną magią; zajmują się psychologią. Dyskutują na tematy Boga, przekonania, poetów, literatury, spektakli teatralnych, malarzy, muzyki (trudnej i pięknej). Jednym słowem: są to ludzie wartościowi, lecz potrzebujący opieki. Społeczeństwo nazwało ich wyrzutkami, wypchnęło na margines życia, choć mają czyste serca. Prawie wszyscy chcą się wyzwolić z nałogu. Oddają się łatwowiernie w ręce lekarzy, którzy zamykają ich w zakładach wraz z psychicznie chorymi. Ryszard był w jednym z tych zakładów (tylko dwa tygodnie).

Postarał się samymi siłami, by porzucić narkotyki. Poświęcił dla niego cały wolny czas. Wiem dziś, co znaczy ból, nienawiść, plotki, pogardliwe spojrzenia ludzi. Atmosfera w domu wyglądała jak po wybuchu bomby atomowej. Nie obeszło się bez rękoczynów. Jestem człowiekiem, który kocha spokój i domowe ognisko, ale nawet to poświęciłam dla niego. Czy żałuję? NIE! Bo dziś mam do kogo się zwrócić o pomoc, dziś wiem, w kim mam przyjaciół. Nauczyłam się żyć n a p r a w d e uczciwie.

MAŁGORZATA z Konińskiego
Fot. GABOR LÖRINCZY

kontakty kontaktów

Odpowiadając na Waszą notatkę, zamieszczoną w 11 numerze „Kontaktów”, a dotyczącą przygotowania przez pracowników Oddziału Gospodarczego UW w godzinach pracy sali na sesję WRN i pobrania za pieniądze — Wydział Budżetowo-Gospodarczy uprzejmie informuje, że przeprowadzone badania sprawy przez Wydział Kontroli i Instrukcji Urzędu Wojewódzkiego potwierdziły fakt wypłaty należności pracownikom za wykonywane czynności tak przed, jak i po godzinach pracy.

Powodem wypłaty była sprawa konieczności przygotowania sali w godzinach rannych przed Sesją, jak też jej uporządkowania po zakończeniu Sesji, ze względu na odbywające się na tejże sali zajęcia kultury fizycznej. Dodatkową trudnością było przeniesienie stołów ze strychu nad trzecim piętrem. Fakty te potwierdziła dyrekcja Liceum Ogólnokształcącego, pracownicy oraz kontrola.

W tej sytuacji zaszła konieczność zlecenia wykonania tych czynności przed i po godzinach pracy własnym pracownikom, tym bardziej, że zlecenie ich innym osobom następczo wiele trudności z uwagi na brak możliwości znalezienia zleceniobiorców i nagły czas. Prace te zlecono pracownikom, do których obowiązku nie należało tego rodzaju czynności.

Wypłata należności miała charakter sporadyczny i nastąpiła w sytuacji wyjątkowej, w której liczył się czas przygotowania sali i po zakończeniu Sesji — natychmiastowego jej oddania do dyspozycji LO, tym bardziej że nie można było skorzystać ze sprzętu znajdującego się w salach lekcyjnych z uwagi na trwające zajęcia szkolne.

Mgr JERZY JUST
Dyrektor Wydziału Budżetowo-Gospodarczego Urzędu Wojewódzkiego w Łomży

★

W 13 numerze „Kontaktów” został opublikowany list czytelnika, Tadeusza Golińskiego, na temat pracy sklepu WSS „Społem” numer 12 w Łomży. W związku z tym uprzejmie wyjaśniam, że skargę klienta, odnośnie stoiska masarniczego w tym sklepie, dokładnie zbadano i ustalono:

— zawyżoną należność za mylnie przeważone mięso wyrównano klientowi natychmiast po złożonej reklamacji,

— ciągle kolejki tworzące się przy stoisku masarniczym powodują przesuwanie się lady sklepowej, na której stoją wagi uchyłne, a te z kolei, przez ruch, rozregulowują się.

Nie usprawiedliwia to jednak sprzedawców stoiska masarniczego, którzy winni zwracać uwagę na działanie wag. W związku z tym z kierownictwem sklepu oraz z personelem stoiska masarniczego przeprowadzono rozmowę i zobowiązano go do częstego kontrolowania sprawności wag uchylnych. Ponadto, za niewłaściwe użytkowanie urządzeń wagowych, postanowiono personelowi tego stoiska potrącić premię za czerwiec.

Pracowników Obrotu Towarowego zobowiązano również do wzmożenia kontroli nad pracą stoiska masarniczego.

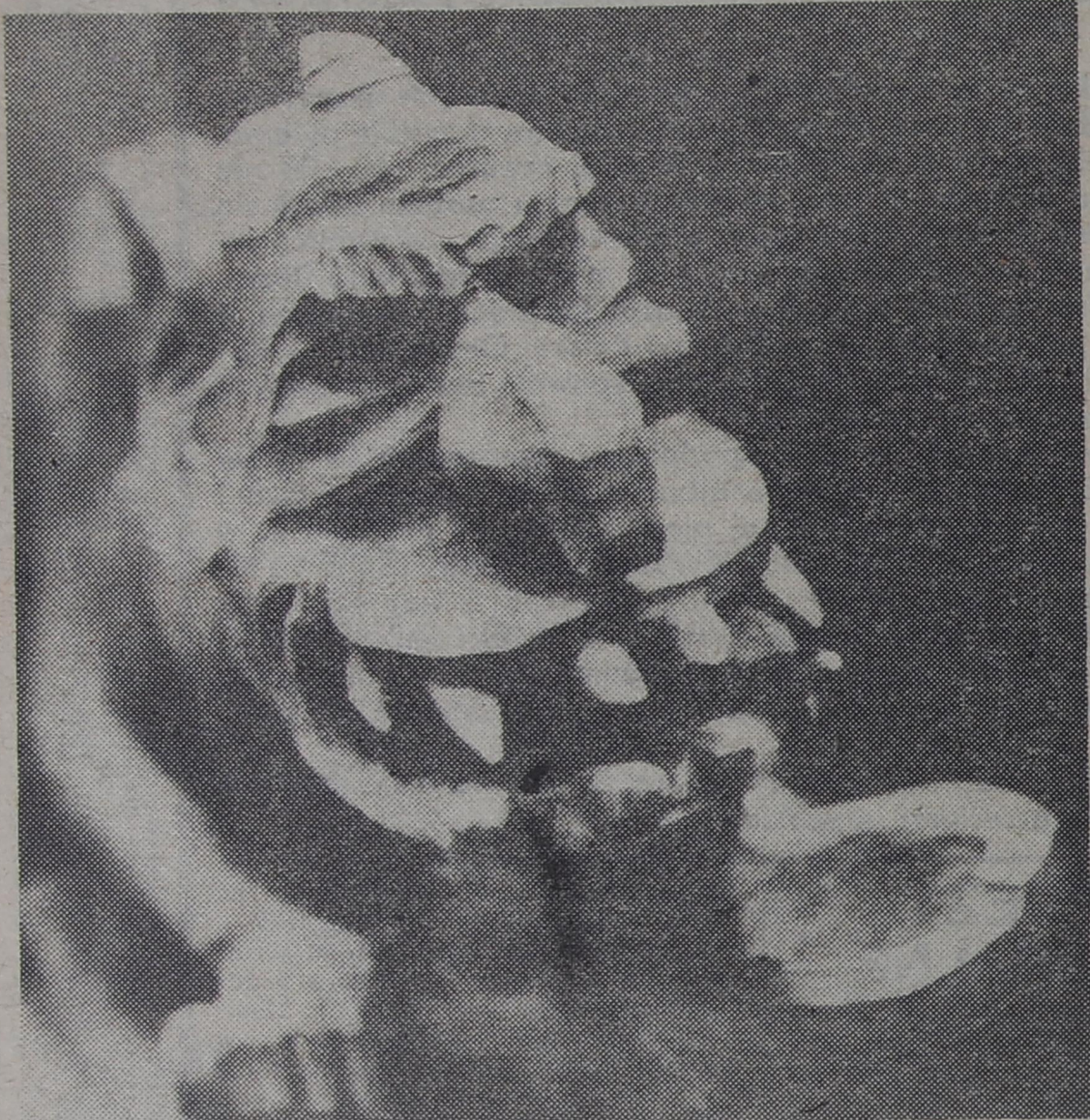
Inż. IRENEUSZ CHROSTOWSKI
Prezes Zarządu
WSS „Społem”, Oddział w Łomży

«KONTAKT»

diabły kowieńskie

Historia Muzeum Diabłów w Kownie (Litewska, SRR) jest równie nietypowa, jak jego zbiory. Pomysłodawcą, założycielem i zbieraczem był profesor Antanas Zmuidienavicius — historyk sztuki i malarz. Zgromadził on 23 kolekcje z

łączone z dniem urodzin. Ale to nie wszystko. Trzynastego poznałem moją żonę, trzynastego przyszła na świat moja córka". Pamiętając o tej rozmowie, przyjaciel-duchowny ofiarował profesorowi diabła ze zbiorów kościelnych. I tak się zaczęło. Zbiory gromadzone były przez sześćdziesiąt lat, a ich przewodnią myślą pozostała właśnie trzynastka. Znajduje się w nich kilkanaście kompletów zawierających po 13 sztuk. Na półkach stoją diabły afrykańskie, chińskie, japońskie, wietnamskie, chimera z Notre Dame, in-



eksponatami z wielu zakątków świata. O powstaniu zbioru krąży legenda, której motywem przewodnim jest trzynastka.

Profesor miał przyjaciela-duchownego, na którego kazania zjeżdżali się ludzie z odległych okolic. Nigdy jednak nie słuchał ich Zmuidienavicius. Nagabnięty przez kaznodzieję, miał powiedzieć: „Nie mogę, diabeł mi nie pozwala, gdyż mojemu życiu nieustannie towarzyszy trzynastka. Dwie ostatnie cyfry z daty moich urodzin dają liczbę trzynastcie, podobnie jak dwie pierwsze, po-

dińskie totemy, biesy polskie, czeskie, niemieckie, włoskie, kubańskie i greckie. Wśród zbiorów znajduje się także serwis, który profesor otrzymał w osiemdziesiątą rocznicę urodzin. Każdy talerz z tego serwisu ozdobiony jest motywami diabelskimi i wyobraża 13 lat życia profesora, a główny półmisek zawiera dedykację i ode na cześć posiadacza kolekcji.

W zbiorach wydzielono również diabły-zabawki dla dzieci. Osobną półkę zajmują diable; stanowią jednak mniejszość, bowiem diabeł jest z pewnością rodzaju męskiego!

Objął mocnym ramieniem wstrząsane płaczem barki diabliska i razem nad podłym losem zapłakali. Nagle Cyganowi przyszła myśl do głowy, jak tu diabłu przyjąć z pomocą, i zaproponował, że mu duszę sprzeda, aby ten z pustymi rękami do piekła nie wracał. Tylko na moment radością zajaśniały żółte ślepie diabła, lecz natychmiast załosnie zaskomlał, pięścią w chudą pierś uderzył i odrzekł: — Nigdy, bracie, tyś mnie jak brata potraktował, a ja miałbym cię na piekło skazać? Już ja sam wolę cierpieć.

Długo jeszcze nad wspólnym losem biadolił i doszli do wniosku, że biednemu zawsze wiatr w oczy wieje. Kiedy pierwsze kury zapiały, musieli się rozstać. Każdy z nich poszedł swoją drogą i tak jeszcze raz solidarność wyrobników prywatę zwyciężyła.

(Władysław Wójcicki: „Klechdy”)

jak Cygan się z diabłem bratał

Wracał Cygan do rodzinnej wioski z odpustu w Makolicach. Ciężko mu było na sercu, bo akurat naszli go myśli o tym, co go czeka, kiedy przyjdzie do mistrza. Robił za czeladnika u kowala, co nie było sprawą łatwą. Kowal krótko trzymał w garści pomocnika, wyciskał ostatnie poty, a nagradzał skąpo. Nie zbywało Cyganowi ani na pieniądzech, ani na strawie. Jednym słowem — wiódł żywot lichy i godny ubolewania.

Zatopiony w niewesołych myślach wkroczył na polanę i nagle spostrzegł jakąś dziwną postać. Na pniaku wśród poręby siedział skurczony czelczyzna. Spód ubiegiego odzienia wycierała kosciana noga z kopytkiem, a ze zmierzwionej czupryny śmieszne różki sterczały. W mig Cygan pojął, że z diabłem ma do czynienia. Nie był on jednak straszny w porównaniu z przewrotnością mistrza kowala. Toteż rezolutnie go powitał i o zdrowie zapytał. Diabliśko widocznie było w podobnym do Cygana nastroju, bo z miejsca wdał się z kowalczykiem w rozmowę. Opowiedział, jak nędzne życie w piekle wiedzie, jakie ciężki od Lucypiera zbiera za słabe wyniki w zdobywaniu duszyczek, jak jest maltretowany, kiedy bez zdobytego cyrografu do piekła wraca.

Zal się Cyganowi diabła zrobiło.



MINI-KABARET PIEKIELKO PRZEDSTAWIA DRAMAT SENSACYJNY DIABELSKIE OBRACHUNKI

Cztery znajome diabły, Von Brok, Siennica, Nurziczek i Narwianski, ulokowały się na topieliskach tuż pod Czarkówką. Dużą i Małą w gminie Perlejewo. W rozległych bajorach moczą swoje zabłocone kopyta i cuchnące ogony. Gadają o tym i owym, a głównie o przygotowaniu do żniw, za które na tych terenach odpowiada Nurziczek.

NURZICZEK (bierze do ręki grudek ziemi): — Spokojna głowa, nie mogą przebiegać normalnie ani, tym bardziej, radośnie. Ludzie siarczą się klną po chałupach, aż miło słuchać, bo albo słońce tygodniami ziemię praży, albo gwałtowna ulewa zboże kładzie, że tylko ręce zalamywać, znaczy: zacierać.

SIENNICA: — To zasługa niebios, nie twoja. Czego sam dokonałeś?

NURZICZEK: — Mam trudny teren. Każda chłopska dusza jest tu bardzo uparta i bogobojna, do grzechu ciężko namawialna. Ale już swoich ustawiłem w ciechanowieckim geesie i w perlejewskim eskarze, aby żadnych narzędzi i części zamiennych do maszyn nie sprowadzali. Wprawdzie to anielskie nasienie wymyka się na obcy teren, do Siemiatycz, ale zadeszczuję do Bużańskiego, żeby je stamtąd popędził. Postarzał się, biedaczek...

NARWIAŃSKI: — Nie wykręcaj się ogonem. Trzeba było spowodować zamknięcie granicy gmin, nie musiałbyś teraz zwalać swojej nieudolności na nieobecnych.

VON BROK: — Trudny teren, powiadasz? Ha, żebyś tak spod ogona Belzebuba do końca piekła nie wyłaził! Ja mam u siebie Jabłonkę Kościelną i nie narzekam. Trzymam chłopstwo w garści od lat, czego dowodem ich rogate dusze. Niczego nigdy nie uradzą, bo wiecznie się kłocą.

NURZICZEK: — O, o! Właśnie to jest dobra metoda: skłócić każdego z każdym, a także wszystkich ze wszystkimi. Taką rozsiewacz wapna, dzięki moim podszeptom, SKR wynajmował do rozsiewania piachu na drogach! Chłopi tak mięsem rzucali, jakby już nastał dobrobyt. Dalej: za moją sprawą ciechanowiecki gees sprzedaje nawozy raz na kontrakcję, raz bez ograniczeń. Chyba nie muszę wam mówić, co rolnicy najchętniej zrobiliby z prezesem? A jakie sukcesy mam w niezaopatrywaniu perlejewskich sklepów w podstawowe produkty żywnościowe!

VON BROK: — Owszem, wypunktujemy te fakty w raporcie. Ale jeśli nie zadbasz o to, aby Czarkówka była Czarkówką, za karę kościelną zostaniesz i będziesz proboszczowi służyć.

NARWIAŃSKI: — I nie gadaj nam o trudnym terenie. Przez długi czas nie było tu naczelnika, bo leżał w szpitalu. Nowy dojeżdża z Siemiatycz, Rano w Urzędzie chłopi z własnej woli wzywają nas na pomoc!

VON BROK: — Pora na podsumowanie. Gdzie znikł, do stu par aniołów, Siennica?

SIENNICA: — Kukuryku! (wyskakuje z chaszczy machając potciem wędzonki). To jest dobra czarcia robotka! Nawet psy nie zaszczeły, gdy ją podbierałem. Bracia, wyłóżcie teraz swój węch!

Diabły pociągają nosami, po czym kierują się w pobliskie olszyny.

POMIOT I SPÓŁKA

diabeł nie śpi

nie był to nikt z latarką, bo co by o tej godzinie robił z dala od drogi. Zegnała się wiele razy, modliła, ale ogień szedł dalej.

Przy tym miejscu zdarzało się lu-



JAN WOJTCZUK, sołtys wsi Bybytki: — Było to kilka lat temu. Kto nie wierzy, niech zapyta Jadwigi Grabowskiej. Na Święcenicy, krótkim odcinku drogi między Bybytkami i Łazami, widziała ona dużą ognistą kulę, która późnym wieczorem chodziła po polu. Na pewno

dziom wiele różnych wypadków. Zimową porą rzadko kto tędy przejechał sankami bez wywrócenia się. Powracającego z wesela gospodarza z pobliskiej wsi coś tak określiło, że sianie wywróciły się do góry płozami. Jemu nic się nie stało, ale przez całą noc drogi do domu szukał.

po czym poznasz czarownicę

1. Ma oczy płonące i w sińcach — od nocnego hasania — pod oczami.
2. Jeśli ma córki, szybko i dobrze wyda je za mąż, a te będą miały porody lekkie i bezbolesne.
3. Nie chce na wszystkich oczami rzucać czarów, często w rozmowie swoje paznokcie czyści lub ogląda.
4. Umie ogień ze wszystkiego wykręcać.
5. Kocha złota, pieniądze i wszelkie dobra tego świata, a te jej się nad podziw trzymają.
6. Spotyka ją zawsze tragiczny koniec w myśl porzekadła: „poszła do diabła” lub „diabeł ją wziął”.
7. Po śmierci czarownicy straszy w domu, w którym żyła.